Koniuszyc Brzeski

opowiadanie

przez

KAJETANA KRASZEWSKIEGO.

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
Gubrynowicza i Schmidta,
plac św. Ducha l. 10.
1875.

Władysławowi Milowiczowi
i
Lucyanowi Horodyńskiemu
przyjacielską pamiątkę

przesyła

Autor.

*

KONIUSZYC BRZESKI.

Homines judicant de rebus, secundum ea, quae foris apparent, sensibus subjiciuntur, D e u s a u t e m i n t u e t u r c o r (1 Reg. 16) et intimam ab ipsa natura productionem.

(P. Joan. Kraszewski — Impetus bonarum Cogitationum. A. D. 1696. fol. 475.)

Magni fama nominis est instar ignis fatui. (Ibidem.)

Tyle już o księciu Karolu Radziwille, Panie kochanku, ludzie napisali, tyle opowiedzieli, a co więcej, na karb jego nakomponowali anegdot, iż zdawałoby się na prawdę, że ciekawa tą postać doskonale i wszechstronnie przestudjowaną jest i poznaną. Tymczasem rzecz się ma wcale przeciwnie; najprzód do dzisiejszego dnia rozmaici autorowie i poważni badacze różnie go osądzają, a co więcej, wielu nawet opierając się na jednostronnem zdaniu niektórych współczesnych, a niechętnych księciu Wojewodzie autorów, mają go za dumnego nieuka lub gbura. Nie trzymając się nawet starego przysłowia: *de mortuis aut bene, aut nihil,* bo według dzisiejszego nowego sposobu, jakim nas uczą na świat się zapatrywać, i to nawet zacne przysłowie znajduje już przeciwników; gdybyśmy nawet, powiadamy, i tego przysłowia się nie trzymali — miło jest wszelako dorzucić choćby słowo na obronę prawdy i dobrej sławy człowieka. Otóż na szczęście znaliśmy jeszcze

osobiście ludzi, którzy w blizkich byli nawet z księciem Wojewodą stosunkach, i śmiało rzecz możemy, że ci ze współczesnych, którzy księcia Wojewodę w niedobrem przedstawiają świetle, czynili to ze złej woli i niechęci, ci zaś, którzy za nimi zdanie to dziś powtarzają, na złe natrafili źródła i z żywej nie czerpali tradycji.

Jeżeli książę Radziwiłł był nawet kiedy dumnym, zaiste miał z czego. Przypomnijmy sobie, że na on czas panowie, którzy historyczne i znakomite nosili imiona, w znacznej większości, do której i Wojewoda należał, czuli dobrze, do czego ich to nazwisko obowiązywało; wiedzieli, że ono nie do nich, lecz do narodu należy; pamiętajmy, że tradycje rodowe tak u szlachcica jak u pana były na on czas w najwyższem poszanowaniu. Mógł być więc ks. Radziwiłł dumnym z imienia, ale mógł też i z fortuny prawdziwie kolosalnej, która w owych czasach i mimo jego znanej hojności, przeszło 40 miljonów złotych rocznego dochodu przynosiła. Objaśniamy, mógł być dumnym właściwie nie z posiadania samego tej fortuny, boć ją z losu urodzenia trzymał, lecz ze środków, jakie ona hojności jego na rzecz kraju i współobywateli podawała, a tem samem z potęgi, jaką mu drogą wdzięczności za hojność i pomoc i drogą miłości całej szlachty litewskiej zapewniała. On to istotnie królował na Litwie, i miał niejaką słuszność, gdy powiedział kiedyś: „Król sobie królem w Warszawie, a ja, Panie kochanku, w Nieświeżu“; z tą myślą stanął też na miejscowej bramie napis: *Restauratum anno Domini 1788 Dominante principe Carolo II.* Że nie był nieukiem, jak go chcą niektórzy autorowie wystawić, pomijając już tysiączne ustne znane nam tradycje, najlepszym dowodem są listy jego, znajdujące się w archiwum Nieświeskiem z czasów młodzieńczych do rodziców, w których prócz kilku języków, w jakich są pisane, spotykamy relacje pobieranych nauk. Wypadki ówczesne, dobrowolne księcia tułactwo, doprowadzone do ostateczności jedynie w stałem i niezłomnem postanowieniu dotrwania do końca w raz powziętem zdaniu i przedsięwzięciu, dostatecznie żelazny jego charakter malują.

Miliony zaś, które sypał wówczas, *pro publico bono*, niezaprzeczone a wymowne hojności jego dają świadectwo. Mając też książę Wojewoda przyjaciół i wiernych sług nie mało, i ich też nagradzać umiał, a wspomagać prawdziwie po Radziwiłłowsku. Wypadki krajowe i mnóstwo

osób do otoczenia księcia należących, jako też ich wzajemne stosunki, nie raz od wpływu jego zależne, czyniły częstokroć z księcia Wojewody, prawdziwego, rzec by można powieścio-twórcę, w czynie.

Jeden to z takich wypadków mamy zamiar opowiedzieć; komponować go nie potrzebujemy wcale — sam wypadek, jako też i osoby i szczegóły są prawdziwe i ściśle historyczne. Rzecz tę podały nam usta, które ongi, jeszcze i nieraz, z jednego kielicha z księciem Wojewodą piły — i które opowiadać umiały. Niestety — gdzież się dzisiaj podział ów talent niezrównany, z jakim nasi dawni staruszkowie opowiadać umieli? — kto dziś tak gawędzić potrafi — gdy nam ich nie stało? Starajmyż się choć nieudolnem piórem, o ile możemy, opowiadania ich od niepamięci zachować. W tym celu podajemy tu narrację o sławnej, złotej Radziwiłłowskiej kolasie, która los koniuszyca Brzeskiego i rodziny jego zapewniła.

Romanów d. 20. listopada 1874 r.

I.

Już od kilku miesięcy znaglony wypadkami krajowemi, książę Karol Radziwiłł, Panie kochanku, bawił na zamku Bialskim; a było to w 1769 roku. Konfederacja zawiązana w Barze, przez Starostę Wareckiego i Podkomorzego Rożańskiego, uważała się niejako za reasumowaną konfederację Radomską, *eo ipso* uznawała też księcia Karola za aktualnego swego marszałka — dla tego książę lubo na ten czas siedział w kraju i był swobodny — strzeżono go niejako w Białej, mając ciągle na oku; pałac też, mimo obecności jego, nie zdawał się być wielce ożywionym. Żadnych balów, wystaw ani zabaw nie było; dwór lubo dość liczny, nie stanowił jednak jak małą cząstkę zwykłego otoczenia księcia w Nieświeżu. Z głównych osób składali go: marszałek dworu IMPan Michał Klimaszewski, Józef Kamiński i Michał Skirmunt dworzanie, IMPan Tomasz Wieczorzyński sekretarz podręczny księcia, gdyż IMPan Mikuć zostawał naówczas w Nieświeżu — Bukowski szatny. Z niższej służby: Ignacy Kuczyński pokojowy, Rusiecki Rubkiewicz kuch-

mistrz, faworyt księcia, i inni, przybyli z Wojewodą z Nieświeża. Nie liczymy tu wprawdzie siła przyjaciół księcia, co się bezustannie pomiędzy Białą a Nieświeżem uwijali — ale zawsze jednak cicho jakoś a skromnie. Okolica też nadziwić się nie mogła, gdyż znając magnificencję Wojewody, widziała się zupełnie zawiedzioną. Wkrótce jednak ten i ów szepnął na ucho słowo jakieś tajemnicze i dziwić się przestano.

Książę bowiem wygnany jakoby z Nieświeża, gdzie mu i załogę rozbrojono, gdy w kraju rozwijać się już poczęła konfederacja, sprzyjając jej całą duszą — a stojąc przeto w opozycji dworu i mając pewne zamiary, nie chciał się przed czasem na prześladowanie wystawiać. Rozsełał on swoich przyjaciół i dworzan na różne strony, krzątano się po cichu i formowano właśnie w wielkiej tajemnicy ów oddział z sześciuset ludzi, który książę w nieszczęśliwe ręce Bierzyńskiego miał powierzyć.

Jednego z pierwszych dni czerwca, książe znajdował się właśnie w narożnym okrągłym, pysznie sklepionym gabinecie, sam jeden siedział na obszernym fotelu, obitym włosiennicą w szerokie czar-

ne z czerwonym pasy, w lekkim tylko jedwabnym żupanie — a oparłszy się na poręczy, w zamyśleniu utopił wzrok dość ponury w otwarte okno, zkąd widok na dalekie rozciągał się równiny.

Zapukano lekko do drzwi gabinetu.

— Kto tam? spytał książę.

— Skirmunt. Odpowiedziano.

— Proszę, rzekł książę znowu, a gdy wszedł dworzanin, dodał: Cóż mi tam, panie kochanku' przynosisz?

— Szlachcic jakiś, rzekł Skirmunt, chce się Waszej książęcej Mości submitować.

— Co za szlachcic? spytał kwaśno Wojewoda.

— Mówi, że się nazywa Paszkowski, z Brzeskiego.

— Paszkowski?! hm — jaki panie kochanku? siwy, szłuszny — stary, co?

— Tak jest, proszę Księcia — zapewne ten sam.

Aha! to stary Koniuszy Brzeski — Lanckoroński — Lanckoroński, Paszkowski. Znam, panie kochanku — proś Waszmość — niech tu przyjdzie.

Dworzanin wyszedł. Po chwili dały się słyszeć kroki w wielkiej obok położonej sali i

we drzwiach ukazał się, właśnie taki jak go opisał Książę, z białym, długiem obwiesistym wąsem mężczyzna, lat przeszło 70ciu, który gdy się do kolan dostojnego gospodarza kłaniał rzekł Wojewoda.

— Jak się miewasz panie Koniuszy — witam asindzieja. No, — cóż mi tam za nowiny, przywozisz ?

— Nowin, proszę Waszej ks. Mość, tak dalece żadnych; ale ja tu do łaski Jaśnie Wielmożnego Wojewody...

Tu wstrzymał się i zawahał stary Koniuszy Brzeski.

— No, no — gadaj Waść, panie kochanku, chociaż, jeśli do łaski, toś panie bracie, uczciwszy uszy, kiepsko trafił. Bo to, panie kochanku, teraz takie czasy — że tylko patrz, a niezadługo i Radziwiłł gdzieś łaskawego chleba prosić będzie.

— Wolne żarty, Waszej ks. Mości, daleko to jeszcze do tego, odrzekł prostując się nieco stary Koniuszy — ale ja to do łaski W. ks. Mości, przychodzę z tem co się mnie i J. W. Wojewodzie — i krajowi przydać może. Chciałbym oto — parę silnych rąk i z dobrym ani-

muszem, *pro publico bono* ofiarować do regimentu Waszej ks. Mości.

— Jak to? — zawołał Wojewoda zdziwiony, chciałbyś acan, panie kochanku, zaciągnąć się do służby ? — w tym wieku !

— Ja to, proszę Waszej ks. Mości, sam już teraz nie zdużam, chociaż to jeszcze przed czterma laty miałem szczęście towarzyszyć JWielmożnemu Wojewodzie, ale teraz przywiodłem mego syna i submituję go u nóg JW Pana.

— *Bene* — panie kochanku, zobaczymy kawalera, a spodziewam się, że syn asindzieja od ojca się nie odrodzi.

Tu Książę sięgnął po dzwonek na małym stoliczku koło niego stojący.

— Panie Kuczyński — rzekł do wchodzącego dworzanina — prosić mi tu Marszałka.

W kilka chwil zjawił się pan Klimaszewski. A była to na dworze Księcia figura niepoślednia; bo chociaż wzrostem nie najwyższy, personat był, i to miał osobliwsze, że przy włosach i wąsach jasnych i siwizną przyprószonych, oczy mu świeciły czarne a bystro i przenikliwie. Nosił się zawsze dostatnio i prawie okazale, a co do charakteru, to go nikt

odgadnąć nie potrafił. Był bowiem i *jovialis* nie rzadko i statysta przytem wielki. Lubił go też książę Wojewoda, gdyż często kiedy nikt nie śmiał gęby otworzyć, zwłaszcza *post fata* Imci pana Wołodkowicza, lub pod niebytność Imci pana Komornika Słonimskiego, Leona Borowskiego, to pan Klimaszewski i swoje powiedział i pana nie rozgniewał i radę dobrą podać potrafił — i w potrzebie wreszcie milczał jak kameduła, że nikt od niego nic wyciągnąć nie mógł. W delikatnej zaś materji zaczepiony, tak potrafił rzecz obrócić, że interlokutora facecjami w pole wywiódł, aby mu nic nie powiedzieć, a pan Marszałek i wszystko wiedział i wszystko słyszał, ba — i przewąchał nieraz dokumentnie, co się gdzie święcić miało.

Owoż, gdy się Imci pan Klimaszewski pojawił, a minę jakąś osobliwszą udał, wnet się Książę uśmiechnął wesoło i rzekł:

— Polecam Waści, panie kochanku, Imci pana Koniuszego Brzeskiego, abyś go Waszmość przyjął i ugościł, jak się patrzy, a i o synu jego też pamiętać proszę.

To mówiąc Książę z krzesła się podniósł i podał uprzejmie rękę gościowi, który skło-

niwszy się wychodził już z marszałkiem, lecz Wojewoda dodał jeszcze głośno:

— A na wieczerzę proszę Waszmości, panie Koniuszy.

Za czem Wojewoda wyszedł do sali, gdzie przybyłych z Litwy gości IMpanów Piotra Mirskiego, Obożnego Bracławskiego, i Antoniego Chomińskiego,StolnikaOszmiańskiego,przybyłych co właśnie z województwa wileńskiego, których tymczasowo konwersacją zabawiał Impan Skirmunt — powitał.

Miasto Biała, dawna, a w końcu zeszłego wieku ciągle prawie zamieszkała, możnych książąt Radziwiłłów siedziba, lubo wśród obszernych równin i lasów położona, jadącemu wszelako od Brześcia Litewskiego, dość się w owym czasie wspaniale przedstawiała. Po lewej stronie grobli do miasta wiodącej, wznosił się wałami otoczony, obszerny, a cudnej prawie struktury zamek, z narożnemi wieżami i galerjami *per modum* kwadratu zbudowany, z za których murów przeglądała wieża wielkiej wjazdowej bramy, gdzie były też karceresy i więzienia, w których *ut fama fert* J. O. książę Chorąży, stryj księcia Karola, siła ludzi zamykał, a nie jednego i zkwasił. Dalej wznoszą się

wierzchołki fary i kościoła OO. Bazyljanów, a z prawej strony od samego przyjazdu, bieleją obszerne mury i zabudowania klasztoru Reformatów, jeszcze przez ks. Michała Kaźmierza Radziwiłła, szwagra króla Jana IIIgo w roku 1671ym erygowanego.

Tegoż samego dnia, w którym właśnie księciu Wojewodzie przedstawił się IMpan Koniuszy Brzeski, równo z zachodem słońca, gdy już u Reformatów na *Angelus* przedzwoniono, a brat Antoni, mrucząc pacierze, brał się do zamykania furty klasztornej, zajechała przed nią bryka parokonna. W bryce, siedziało dwóch kapucynów; starszy nieco otyły, wygramoliwszy się ciężko, pozostawiając towarzysza w miejscu, postąpił ku bramie.

— *Laudetur*

— *In secula* — odpowiedział furtjan — a kłaniając się nizko dodał: Upadam do nóg Wielebnego Ojca prowincjała, proszę zajeżdżać, ja zaraz bramę otworzę.

Wkrótce też zamknęła się furta i brama za nowoprzybyłymi.

Znalazłszy się w obszernym klasztornym dziedzińcu, parobczak powożący bryką, obznajomiony widać z miejscowością, zjechał na lewo

nieco ku stajniom i konie zatrzymał. Tu drugi kapucyn, towarzysz prowincjała, mimo całe okazałej postawy, wyskoczył z bryki lekko, a obciągając ciężki habit, żywo i poprawiając paska, rzekł dosyć głośno do zbliżającego się prowincjała, za którym też i furtjan podążał suwając nogami:

— Niech trzysta djabłów porwie taką drogę!

Głos, postawa, i to przemówienie przybyłego niepasujące jakoś z kapucyńskim habitem, zwróciły uwagę starego nawet furtjana, który stanął z wpółotwartemi ustami, wlepiwszy w niego zdziwione oczy.

— No, no, przerwał żywo prowincjał, ruszając lekko ramionami i robiąc do towarzysza znaczącą minę — zbieraj się Jegomość, pójdziemy na górę.

Jakoż, postąpili ku drzwiom bocznym na kurytarz, gdzie szerokie i wygodne wschody na górnem wyjściu, prowadziły wprost właśnie do celi ojca gwardjana. Pierwsza ta cela rogowa obszerną była i widną. Z prawej strony drzwi wchodowych zdobił ją staroświecki zielony piec kaflowy, w przeciwległej ścianie jedno okno od rogu wychodziło na ogród, łąkę i olszynkę do terytorjum klasztornego należące,

w lewej ścianie dwa okna dawały widok na dziedziniec, z prawej zaś obok dużej staroświeckiej szafy z jednego boku, a podobnegoż zegara z drugiego, wiodły drzwi do sypialni gwardjana.

— Kto tam? dał się słyszeć donośny głos z drugiego pokoju.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, przemówił prowincjał, postępując ku środkowi.

— Na wieki — odpowiedziano — zaraz służę.

Niebawem też wyszedł Ojciec Ludwik, gwardjan i gospodarz klasztoru. Był to mężczyzna niemałego wzrostu, dobrej tuszy lubo nie korpulent, z siwym włosem, mocno czerwony na twarzy, która chociaż rysów pospolitych, była wesołą i otwartą.

— *Reverendissime pater!* wykrzyknął podchodząc i serdecznie witając prowincjała Kapucynów. Zkądże Pan Bóg prowadzi? a, o, o, to owo, widzę i z towarzyszem.

— Przedstawiam Jegomości, odparł prowincjał, brata Franciszka, który do nas, do Lubartowa niedawno właśnie przybył. Chcieliśmy się Księciu Wojewodzie przedstawić, możeby

z Reformackich resztek co i dla nas Kapucynów sakryfikował.

— No, no, znowu! zaśmiał się gwardjan, Ichmość chcecie, to owo, pod nami dołki kopać jak widzę. Siadajcież Ojcowie, ja zaraz powrócę.

To mówiąc gwardjan zdjął klucze z ćwieka, wbitego z boku szafy i wyszedł.

Ledwie się za nim drzwi zamknęły, milczący kapucyn, towarzysz prowincjała zbliżył się do niego żywo.

— Ojcze Prowincjale, rzekł, ja dziś koniecznie potrzebuję się widzieć z Wojewodą.

— Zobaczymy jak się to da uskutecznić, ja pogadam z gwardjanem, ale ostrzegam, że Jegomość, dodał uśmiechając się, masz wielce niepowściągliwą gębę.

Wtem nadszedł gwardjan, za nim zaś sługus klasztorny, rozczochrany, w obdartej kapocie i trepciach, niosąc spory gęsior zieleniaku i dwie świece, dalej jakby w procesji brat kanafarz z jakiemiś przekąskami; Ojciec Rafał definitor, baryłkowaty, niski, wiecznie głośno śmiejący się *rubicundus et globosus* — anegdot i facecji niewyczerpana skarbnica, i wreszcie ksiądz Kaznodzieja Daniel, jako przeciwieństwo

definitora, i wbrew swemu urzędowi milczący jak ściana, który do kazania tylko lub na *directe* dane zapytanie zwykł był usta otwierać; stary już lecz nie siwy, chudy, słuszny, bladawy, nieco rysy księdza Skargi przypominający.

Wnet ożywiły się cele gwardjana, wszczęła się rozmowa, w której wszelako najmniej nowoprzybyły kapucyn brat Franciszek partycypował.

— Jakiż to głównie interes, Ojcze prowincjale, rzekł gwardjan, macie do Księcia Wojewody?

— Rzecz nie wielka, odrzekł zapytany, chciałbym przystąpić do odnowienia naszego kościoła.

— Ho, ho — to Jegomość nazywasz rzeczą nie wielką, przerwał śmiejąc się definitor; chcesz być Jegomość odnowicielem kościoła, to pachnie herezją. Jegomość chyba widzę z dyssydentami trzymasz!

Smiech ogólny zawtórował konceptowi definitora, który trącił właśnie w najdotkliwszą na owe czasy strunę.

— Śmiejcie się, śmiejcie — odparł niby serjo prowincjał, ciągnąc powoli nalany już przez gwardjana w lampkę zieleniaczek, to wy właśnie Reformaci z heretykami trzymać musicie, boć to przecie nie tajno co jest reformacja.

— Bądźcie spokojni, przerwał gwardjan, my nie mamy nic do czynienia z Toruńczykami.

— Jakto? zaśmiał się prowincjał, wyrzekliście się i pierniczków?

— *In perpetuo*, Ojcze kochany — tak, tak, to owo, zbrzydły nam od czasu owego pierniczka jaki pod figurą dyssydenckiego manifestu z Torunia przysłał stanom IMPan Goltz, Starosta Grudziązki, co go pono, to owo, i sam Król Jegomość strawić nie może.

— Chociaż, dorzucił żywo milczący brat Franciszek, ma on *ni fallor*, bardzo strawny żołądek.

— *Consuetudo est altera natura*, dodał śmiejąc się znów definitor, bo go też zbyt często trudnemi do strawienia specimenami okarmiają, pojawił się i teraz podobno jakiś wierszyk nowy, czy go też który z Ichmościów nie ma.

— Jakiż to? spytano.

— Protestacja Barska.

Na to słowo uśmiechnął się nowoprzybyły brat Franciszek.

— Mogę go Państwu przeczytać, rzekł, jeśli woli.

— Prosimy — prosimy — zawołano.

— Będę służył, dodał, ale spisywałem z pamięci, więc w nim nieco brakuje. To mówiąc, dobył z zanadrza kartkę, bujnym okrągłym charakterem pisaną, rozwinął, i potężnym głosem zaczął:

Protestacja Barska.

. . . .
. . . .

Czarta w prawie natury pierwsza była
zdrada;
Zaś w prawie Mojżeszowem tegoż czarta rada,
Że pokusił żydostwo, aby czcili cielę,
Za które bałwochalstwo, trupem padło wiele.
W Polszcze też pierwsza zdrada czarta [1]) przeklętego:
Zabił Adama Tarłę, męża tak wielkiego [2])
Potem kłócił narady, mięszał trybunały,
Krzyż Potockich chciał zgromić jako czart zuchwały,

[1]) Aluzja do familii.

[2]) Mowa o pojedynku Ad. Tarły Wojew. Lubelskiego z Podkomorzym koronnym, bratem królewskim.

Na Tronie czcić rozkazał Ciołka narodowi
Oddał kraj w posłuszeństwo swej siostry synowi,
To dziwna, że gdy cielę głupie jest z natury,
Zkąd dostało tak chytrej na siebie figury?
Djabeł musiał na siebie wziąć postać cielęcia,
Bo inaczej nam trudno wszystkim do pojęcia.
Trafił się egzorcysta, Krasiński z Papieżem.
Djabła z ciołka wyżenić Tureckiem przymierzem
I jak wół na Jezusa ziębnącego chuchał,
Tak ciołek bez Jezusa będzie w łapy dmuchał [3]).

Po odczytaniu tego paszkwilu nastała chwila milczenia. Nie bardzo się on widać zgromadzeniu w ogóle podobał; mimo bowiem, iż wszyscy konfederacji sprzyjali, paszkwil był płaski i bez smaku, a wrodzone narodowe uczucie poszanowania dla osoby króla, nie godziło się z tak grubym konceptem. To też nad wszelki zwyczaj, pierwszy przerwał cichym, lecz poważnym i spokojnym głosem Ojciec Daniel kaznodzieja:

— Nie piękny to wcale pamflet i autorowi

[3]) Paszkwil współczesny — p. A.

bynajmniej sławy nie przynosi, boć przecie czytamy u Śgo Łukasza: *Nolite judicare et non judicabimini*, *nolite condemnare et non condemnabimini*, a cóż dopiero jeśli to tyczeć się ma samego pomazańca Bożego.

— Nie pan Bóg go tam pewno — ale chyba sam djabeł nasmarował — dziegciem, — mruknął pod nosem młody kapucyn — szczęściem nie dosłyszano tego, bo wnet rzekł gwardjan:

— Dobrze mówi Ojciec kaznodzieja, zawsze to owo — każdemu należny respekt zachować trzeba, nie jestem ja stronnikiem szczególnym króla Jegomości, boć toby o tem dużo gadać — a wszelako zapewne i on — to owo, musi mieć intencje uczciwe, robi co może...

— Jakto! zawołał zrywając się z miejsca młodszy kapucyn — do trzechkroć sto tysięcy....

Tu prowincjał żywo zwróciwszy się, spojrzał mu bystro w oczy — a brat Franciszek kończąc znacznie zniżonym tonem, dodał:

— Do trzechkroćsto tysięcy — tego — dukatów zjada na rok — i tyle pożytku!!

Tak energiczna apostrofa młodego kapucyna zwróciła na niego uwagę towarzyszy, ksiądz Daniel rzucił okiem surowem i niedowierzają-

cem, gwardjan z uśmiechem pewnego pobłażania jął mu się bliżej przyglądać, a definitor już usta do konceptu jakiegoś otwierał, gdy do celi wszedł dość szumnie i zamaszysto IMpan Klimaszewski.

Tu dodać musimy, iż od dni kilku szanowny marszałek Księcia Wojewody co dzień prawie nad wieczór, spacerem przychodził odwiedzać gwardjana, co temu ostatniemu dawało nawet nieco do myślenia, ile że pierwszy, ścisłych z nim bardzo stosunków nie miewał.

Nowoprzybyły wszedłszy zaledwie, lekko ścisnął rękę gospodarza i wnet zwrócił się do kapucynów, z którymi, a zwłaszcza z młodym bardzo się witał serdecznie — zwracając się zaś do reszty towarzystwa rzekł, wskazując brata Franciszka:

— Niezmiernie szczęśliwy jestem, iż tak niespodziewanie spotykam tutaj właśnie — oto, dawnego mego znajomego.

Rozmowa tedy wszczęła się znów ogólna o różnych posłuchach, wieściach i politycznych konjunkturach, a gdy już kaznodzieja i definitor do odejścia się gotowali, Pan marszałek zwrócił się do prowincjała:

— Wiem — rzekł on — że obedjencja za-

konna nie dozwoliłaby zapewne młodemu towarzyszowi księdza prowincjała dobrodzieja w obecności Jego swoją osobą rozrządzać, przeto upraszam o łaskawą indulgencją, abym mógł brata Franciszka zaprosić do siebie na zamek, bo *ex titulo* dawnej znajomości, miałbym z nim nie mało do pomówienia.

— Bardzo dobrze — uśmiechając się, odrzekł prowincjał — może brat Franciszek nawet u Jegomości przenocować, ja jutro będę w zamku, to się ztamtąd zabierzemy.

— *Tandem* — dorzucił marszałek, biorąc już za rogatywkę — życzymy szanownym Ojcom dobrej nocy. A zabierz bracie Franciszku swój węzełek z sobą, dodał zwracając się do młodego kapucyna.

— Został na bryce — odparł brat Franciszek — ztamtąd go zabiorę.

Zeszli na dół. Kapucyńska bryka stała przed stajnią; młody zakonnik wyjął z niej spore zawiniątko, wziął pod ramię i postąpili ku furcie, która też się zaraz za nimi zamknęła.

Była już noc dość ciemna, gdy się znaleźli na ulicy od klasztoru do zamku wiodącej. Zaledwie też odeszli kroków parę, gdy Klima-

szewski zwrócił się do kapucyna i podając mu rękę, rzekł z cicha:

— No chwała Bogu, że się Waszmość, panie Marszałku, do nas już dostałeś; bo to, dodał śmiejąc z cicha, gdybyś broń Boże popadł w ręce Królewskich, miałbyć się Jegomość z pyszna. Nie lada to dla nich byłaby gratka — Bierzyński Marszałek Konfederacji Sieradzkiej — zadałeś im Waszmość fernepixu nie raz.

— Już to prawdę rzekłszy, strojąc minę dość dumną, odrzekł Bierzyński, zalałem ja im za skórę, i dostając się tutaj z Rusi, parę razy nie wiele brakło, aby mię zchwytali, ale tu widzę i koło Białej Królewscy się kręcą. Pod Lubartowem nawet, tak dla mnie było krytyczne momentum nim się do klasztoru dostałem, że kilka godzin stać musiałem w polu przy owcach za pastucha przebrany.

— Nie wiem, przerwał śmiejąc się Klimaszewski, jak się to Waszmości z Jego posturą udawało.

— No — a udało się jednak.

Tak rozmawiając, weszli do Zamku. W godzinę potem JMPan Marszałek Konfederacji Sieradzkiej suto i buńczuczno przestrojony po swojemu, znajdował się na poufnej z Księciem Wo-

jewodą konferencji, i zgoła też na kapucyna a tem bardziej na pastucha teraz nie wyglądał. Był bowiem cale przystojny chłop, a lubo, jak powiadano, *ab origine* chudeusz, nosił się z pańska, i miał minę po temu.

Konferencja trwała już dobre pół godziny, gdy w przyległej komnacie znajdujący się na rozkazy dworzanin Kamiński, usłyszał dzwonek Księcia Wojewody — wszedł więc pospiesznie.

— Prosić mi tu pana marszałka, rzekł Książę.

Niebawem stawił się i Klimaszewski.

— Słuchaj Waść, panie kochanku, rzekł żywo, podchodząc Książę, trzeba kogoś pewnego jutro, *summo mane* wysłać z depeszą do Boćków, ale, panie kochanku, człowieka zaufanego i z determinacją — kogo Waszmość myślisz? bo i tam od JMPana Podczaszego [1]) spodziewam się relacji, którą mi przywieźć potrzeba. No, kogo Waszmość myślisz posłać, he?

— Wasza Książęca Mość wie dobrze, odparł Marszałek, że w tej chwili właśnie kogośmy mieli z takich ludzi, to są na rozsyłkach,

[1]) Joachima Potockiego Marsz. Konfed. Bracławskiej, do którego wówczas Boćki należały; p. A.

chybaby — może, oto — Skirmunt albo Kamiński.

— Co?! panie kochanku! — zawołał z komicznie zafrasowaną miną Książę. Sfiksowałeś Waszmość, kpisz czy drogi pytasz? mam wszystkiego dwóch dworzan; wstyd powiedzieć, panie kochanku, z czemże się zostanę.

— Wasza książęca Mość wie — podchwycił nieco zmieszany Klimaszewski — my tu teraz w Białej, nie to co w Nieświeżu, ludzi nie ma, szpiegami otoczeni na wszystkie strony. Chyba — dodał i wstrzymał się.

— Chyba co? — rzekł żywo Książę.

— Ja myślę—ciągnął powoli marszałek — możeby popróbować wysłać tego młodego Paszkowskiego, wydaje mi się chłopak sprawny.

— Nie zapominaj Waszmość — panie kochanku, że tu potrzeba człowieka wytrawnego, ba, i zaufanego, a to — no, nie znamy go przecie.

— Ale z oczu mu patrzy dobrze, proszę Waszej Książęcej Mości.

— Zaręczysz mi panie kochanku za niego.

— No — to trudno, ale stary prosił mię właśnie, abym przy zdarzonej okazji starał się go użyć i ręczy za niego.

— O! o! ręczy — wielka mi racja, panie kochanku, każda liszka swój ogon chwali — ale wszelako, to dobra krew, kto wie, panie kochanku, możnaby popróbować. Każ go Waszmość zawołać, muszę mu zajrzeć w oczy.

Niebawem stawił się młody Paszkowski. Był to młodzian dorodny, co się zowie, więcej niż średniego wzrostu, blądyn, czoło pogodne, duże niebieskie oko, wąs jak na wiek młody, bujny i spuścisty, postawa śmiała, zgoła cale piękny, że mimowoli serce ku sobie pociągał. Książę chwilę na niego popatrzywszy — rzekł raptem:

— Jak Waszmości na imię?

— Karol, proszę W. Książęcej Mości.

— Karol?! — zawołał Książę — Karol! Dalipan, panie kochanku, bardzo piękne imię. Hm, pamiętajże Waszmość, że od czasów nieboszczyka Noego, bo jak tam przed nim było, tego ja nie wiem; *tandem*, od czasów Noego, któremu na drugie imie było też Karol, co wiem dokumentnie, bo jego cyfra stoi na owej butelce wina, co mi panie kochanku ten utrapiony Krzyski ofiarował, owoż, od owego czasu jeszcze żaden Karol kpem nie był, uważasz Waszmość panie kochanku, a Karole wielcy byli.

No, ale teraz, dodał Książę, ruszając ramionami, i zwracając się do obecnych, takie panie kochanku czasy, że i tej katastrofy spodziewać się można, iż jaki Karol gotów i kpem zostać. Otóż, ciągnął Książę, kiwając palcem, pamiętaj Waszmość, abyś Ty przynajmniej imienia tego nie zplamił. Rozumiesz?

— Rozumiem, proszę WKsiążęcej Mości, odrzekł śmiało Paszkowski, i spodziewam się, że ani tego imienia, ani klejnotów, com wziął po przodkach moich, nie splamię.

— Bardzo pięknie, to się Waszmość chwali panie kochanku, dajesz że mi na to słowo na uczciwość szlachecką?

— Daję, proszę WKsiążęcej Mości.

— No, jeśli tak, to pamiętaj Waszmość, że oto los własny trzymasz w swojem ręku. Dam ci polecenie, w którem, jeśli mi się dobrze, panie kochanku sprawisz, to ja jakem Radziwiłł, o Waszmości pamiętać będę. Ale uważaj, że to piwo nie przelewki, pojedziesz do Boćków, oddasz pismo i drugie mi tu ztamtąd przywieziesz; ale zważ, że Branicczuki się kręcą; mogą cię panie kochanku złapać, trzeba się nie dać, mogą rewidować, trzeba umieć zachować pa-

pier, aby go nie znaleziono. No, panie kochanku, gdzie go Waszmość schowasz?

— Niech W książęca Mość daruje, odrzekł śmiało Paszkowski, co do schowania, to tak na razie powiedzieć nie mogę. Jużem to doświadczył, że najlepszy koncept dopiero w potrzebie przychodzi.

— Niechże i tak będzie, panie kochanku, oto masz pismo, rzekł Książę, biorąc papier ze stołu, a jutro, czut-świt ruszaj z Bogiem.

Już było blizko północy, gdy z gabinetu Księcia wyszedł Paszkowski wraz z Marszałkiem.

— Masz Waszmość dobrego konia? spytał Klimaszewski.

— Niezły, bo choć to my nie bogaci, ale mamy gniazdo z Boćkowskiego właśnie stada, i zawsze się coś dobrego przyhoduje.

— A znasz Waszmość drogę do Boćków?

— Znam nieco, myślę, że ztąd na Drohiczyn by wypadało, ale ja się będę bocznemi manowcami przebierał.

— Jabym Waszmości radził, lepiej mimo Siemiatycz i dalej na Tódwin.

Tak rozmawiając doszli do bocznego skrzydła zamku, gdzie Paszkowscy mieli izbę gościnną. Marszałek chwilę u nich zabawiwszy, odszedł, a stary Koniuszy Brzeski ucieszony, że syn będzie miał pole do zasłużenia się Księciu Wojewodzie, pobłogosławił go i uściskawszy ułożył się do snu. Ledwie też głowę do poduszki przychylił, już chrapał stary, że go w trzeciej izbie słyszeć było można.

Młody tymczasem narzuciwszy opończę, wymknął się po cichu. Najprzód wszedł do stajen, następnie dawszy bramnemu parę groszy na piwo, wysunął się ostrożnie z dziedzińca i podążył do miasteczka.

Ranek dnia następnego był prawdziwie wiosenny, zapowiadając dzień piękny i pogodny. Od wschodu różowemi i złotemi błaski opromieniało się niebo, lekkie mgły przy ciepłem powietrzu unosiły się nad nizinami i łąkami, rozsiewając balsamiczną woń traw, oraz dzikiego kwiecia. Zawsze cudna, a dziś pełna jeszcze wiosennego uroku natura, zdawała się ludzi i wszystkie żyjące twory powoływać do miłości i zgody, aby, lubując się nią i hołd jej Twórcy składając używali tylko, hojną ręką rozsypanych darów. Ale niestety! ludzie, jakby im było

za ciasno na tym Bożym świecie, drą się tymczasem jak wilki — i w kraju też naszym wówczas, brat powstawał na brata.

Nasz młody Paszkowski, ledwie pierwszy się brzask na niebie ukazał, siedział już na koniu i zaiste wyglądał cale pokaźnie. Granatowa czarnym obłożona barankiem taratatka, przepasana czarnym ze srebrną klamrą pasem, dobrze rysowała jego piękną postawę; lekka burka wolno spływała z ramion, za całe zaś uzbrojenie miał tylko szabelkę doświadczoną i w olstrach parę pistoletów. Nie wielki juk za kulbaką wskazywał, że w nieco dalszą puścił się drogę. W istocie, do Boćków miał on około mil 12tu, na których przybycie i powrót, nie licząc mogących się zdarzyć przeciwności, około dni trzech potrzebował. Ale złoty kasztan z małą na łbie gwiazdką, na którym siedział nasz młodzian, zdawał się wcale forsownego nie przewidywać marszu, i mimo że go jeździec do równego z początku zmuszał stępu, rwał się przeżuwając niecierpliwie zbyt grube jak się zdawało wędzidło mundsztuka, a sypiąc z pyska jak śnieg białą pianę.

Ujechawszy przeto kawałek drogi, Paszkowski, który się często na ten mundsztuk oglądał, zsiadł z konia i ściągnął nieco nagłówek, aby żelazo zbyt nisko leżąc w pysku nie drażniło konia.

Poprawka ta okazała się dość skuteczną, co uważając, jeździec poklepał z zadowoleniem konia i raźnym puścił go kłusem. Podróż zdawała mu się być bardzo po myśli, twarz promieniała spokojem i dobrą fantazją, nie rachował snać, że jak szabelka tak i pistolety, w obecnych czasach i okolicznościach mogły być w robocie, lub kto wie, może na nie z zaufaniem liczył i dla tego się radował.

Dojeżdżając do wsi Makarówka, w skład jeszcze dóbr Bialskich Książęcych wchodzący, zwolnił koniowi biegu, stępo posuwając się dla ostrożności w ulicę. Zaledwie kilkanaście ujechał kroków, gdy kobieta idąca z wiadrem do studni po wodę, spostrzegłszy go, rzuciła wiadro i szybko uciekać zaczęła. Zwróciło to nieco uwagę jeźdźca, lecz postępował dalej. Że zaś to był ranek, a każda gospodyni w tej porze po wodę wychodzi, spotkał więc drugą, która uczniła toż samo; wreszcie trzecia i czwarta, jedna tylko co już od studni wracała, z napełnionym kubłem przeszła spokojnie. Pominąwszy ją, zdziwiony nieco Paszkowski, gdy

właśnie zbliżał się do stojącej w drugim końcu wsi karczemki — wstrzymał konia, aby mu się dać trochę wysapać.

Stary dziad, siwy jak gołąb, siedział na podsieniu, wsparłszy brodę na rękach a ręce na kiju, wpatrzony jakby szklannemi oczyma na wschodzące słońce, które się jeszcze w mgłach rannych kąpało.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — przemówił podchodząc Paszkowski.

— Na wieki wieków, panoczku, odrzekł dziad próbując się z miejsca ruszyć.

— Siedźcie staruszku — siedźcie; czyście Wy tutejsi ?

— A użeż tutejszny.

— Powiedźcie mi czy tu u Was ludzi nie widzą, czy co — że się ich boją?

— Koho, panoczku?

— Ludzi. Bo jak jechałem, to co wyszła która kobieta z wiadrem, to go rzuciła i sama w nogi.

— Aha, rzekł dziad kiwając głową, a to uże u nas taki obyczaj.

— Jaki?

— Tak — że jak z porożnym spotykaje, to wedro kine i utecze. Bo — o — to, każut,

jak baba z porożnym perejde dorohu — to neszczastje.

— Wiem o tem, ale nigdzie nie widziałem żeby rzucali wiadro i uciekali.

— Oo! bo to panoczku u nas taka uże umowa meż babami — od toho czasu jak była zato beda.

— Jaka bieda?

— Alboż panoczok newidaje?

— Nie wiem.

— To — o tak. Za starego Pana, [1]) począł dziad, usiłując mówić już po polsku, bedzie tomu lat dwatsat', jak tut raz preżdżali na polowanie, dwornia jechała peredom, a Naścia Szymonicha pereszła doś rohu z porożnym wedrom, to kotoryj-jak streliu — i zabiw.

— Jak to? zabił?

— Zabił, panoczku, na śmierć. I ruszając z politowaniem ramionami starowina dodał w kształtcie komentarza: Musit pewno był

[1]) Księcia Hieronima Radziwiłła Chorążego W. X. Litt.; był to sławny z dumy, dziwactw i srogości magnat, stryj księcia Karola Panie Kochanku, którego wiele wybryków niepohamowanej fantazji — podania często niesłusznie księciu Karolowi przypisują.

pijany. Aj! byłoż lamentu, ciągnął dalej, nechaj Boh kryje! A tut i ksionże doichaw—beda i hodi! Tego zaraz wzieli do turmy, ksionże Szymoniukowi podarowau grunt, Szymoniuk zaraz, ne douho żdaty, wziaw druhuju żenu—bo — o — to — każut, „aby bołoto, to czort bude“. A uże od toi pory, to baby tak uzialisia — szczo jak koho z porożnym spotykaje, to kine wedro a sama u nohi.[1])

Opowiadanie dziada, było we wszelkich szczegółach najzupełniej prawdziwe. W istocie jeden z dworzan Księcia Hieronima kobietę w ten sposób zabił. Lecz nierozwagę czy przypadek odpokutował drogo, poszedł bowiem w kajdany do lochów Bialskiego Zamku, skazany przez Księcia na całe życie, które też tam pono i zakończył. Książę Hieronim bowiem sprawiedliwość wszelką, a raczej kary sam wymierzał, żadnych praw wyższych nad swoją wolę nie uznając. Trudnem mu też owo panowanie nie było, mając przeszło 6.000 nadwornego wojska i milicji wyćwiczonej wybornie, zważywszy że w kraju naówczas wojska regularnego jako-

[1]) Zwyczaj ten do dziś dnia we wsi Makarówce święcie jest zachowywany; p. A.

by całkiem niebyło, okrom tysiąca kilkuset głów Sasów Gwardji Królewskiej, lub chyba liczyłby kto owe gościnne hufy, co się tam i sam przez kraj przechadzały, od czasu wojen i zamieszek w państwach ościennych. Officerów do swej milicji nie brał Książę Chorąży ze szlachty miejscowej, gdyż będąc niezmiernie srogi, co znał do siebie, i najmniejsze przewinienie śmiercią nieraz karząc, jak to uczynił z kapitanem Marszetem, albo na długie czy zgoła dożywotnie nieraz skazując więzienie, nie chciał się narażać na przykre zatargi z rodzinami, coby go łatwo spotkało. Założył więc szkołę kadetów z własnych poddanych, gdyż jak sam powiadał, „z takich kadetów kreowany oficer *qua subditus* znając mię *suum dominum vitae et necis*, posłusznym być musi.“ Wielu też oficerów sprowadzał z Kurlandji, z którymi również srogo się obchodził; a gdy mu raz dwóch uciekło, rozesłał dla złapania ich dwa tysięcy sześćset kozaków swoich—ujął, i mimo iż byli szlachtą i należeli do Ritterbanku, srodze ukarał.

Podróżny nasz, pogawędziwszy chwilę przed karczemką, widząc że już koń wypoczął, skinął głową staremu dziadowi i w dalszą puścił się drogą. Popasłszy lekko w południe, spieszył,

aby przed nocą jeszcze na tamtą stronę Bugu się przeprawić. Wiedział on, że oddziały lekkiej jazdy, a właściwie pułku przedniej straży wojska koronnego, uwijały się tu gęsto, faworyt bowiem królewski IMPan Byszewski zaledwie przed rokiem forsztellowany na pułkownika pułku przedniej straży, nie bardzo lubiąc wąchać prochu, a chcąc się wszelako dystyngwować i jakieś względem Króla Jegomości merita położyć, wysełał gęste oddziały, które lubo miały tę zaletę, że Konfederatów jakoś obmijały z daleka, lecz za to dla podróżnych, a zwłaszcza konnych i pojedynkiem jadących, były istną a prawdziwą plagą. Wałęsały się te luźne kupy najbardziej po lewej stronie Bugu, wigilancję swą zwracając głównie ku Białej, jako rezydencji Księcia Wojewody, którego właściwie za marszałka Konfederacji uważano.

Nasz więc podróżny, gdy ujechawszy kawał drogi szczęśliwie, nie spotkał nikogo i będąc niejako pewnym, że z drugiej strony Bugu jeszcze bezpieczniejszym będzie, radował się bardzo, że tak gładko przemknąć potrafił. Ależ zdawna to wiadoma jest maksyma, że im człowiek wrzekomo spokojniejszym a bezpieczniejszym się uczuwa, tem więcej wedle rozumu, ba-

czenia a oględności na siebie dawać powinien.

Słońce miało się już ku zachodowi, gdy Paszkowski dojechał do wioseczki niedaleko Klimczyc położonej, gdzie przeprawa przez rzekę była łatwiejszą. Zaledwie pierwsze minął chałupy, gdy *insperate* ze wszech stron obskoczony został. Kilkunastu pieszych i konnych, brudnych i odartych, lecz *praeter propter* uniformowo odzianych, otoczyło go zewsząd.

— Stój! zawołano naraz z przodu, z boków i z tyłu.

Nie było co dyskutować, bo już konia przy pysku trzymano, a siła była przemagająca.

— Czego chcecie? ofuknął, starając się jednak o ile można zimną krew udawać Paszkowski.

Starszy jakiś podoficer czy chorąży rzekł podchodząc bliżej:

— Mamy rozkaz przytrzymać każdego podróżnego i przekonać się, kto jest taki, zkąd i dokąd jedzie. Wybacz Waszmość — taki ordynans, wypełnić go musimy, trzeba się Waszmości prezentować porucznikowi.

— A któż to taki, ten Wasz porucznik? spytał niecierpliwie Paszkowski.

— Tu stoi porucznik, baron Vitinghoff.

Nie było rady; otoczony przeto strażą podróżny nasz ruszył ku dworkowi, nieco opodal od wioski leżącemu.

Dla obznajomienia czytelnika z kim nasz bohater ma mieć do czynienia — wyprzedzimy go, dla zabrania znajomości z porucznikiem.

Wiadomo jest, iż w wojsku koronnem szarżę oficera mógł mieć tylko szlachcic rodowity, *tandem*, IMPan baron Vitinghoff był szlachcicem Kurlandzkim i prozapję swoją cenił nawet wielce wysoko. Był on przed laty dwunastą w sławnych muszkieterach Księcia Hieronima Radziwiłła, Chorążego W. Ks. Lit., których tenże kreował sobie na podobieństwo Ludwika XV. Króla Francuzkiego, jakoby gwardję przyboczną. Napatrzywszy się na niesłychane ekscesa i fantazje swego pryncypała, a surowości i srogości jego doświadczywszy eksperyencją własną przez czas nie mały, mimowoli jak to powszechnie bywa, też same przejął pryncypia. Wyobrażenie też o wysokości jakoby swego własnego rodu, który gdzieś od Kawalerów mieczowych wiódł, i mizantropia jakaś osobliwsza, wielce mu do przeróżnych wybryków pochopu dodawały.

Nie bardzo pokorny lub uniżony względem

starszych, dla subalternów swych był już to zbyt pobłażliwym, dziwacznym, już to znów surowym i nieubłaganym nad miarę. Naśladując tak swego dawnego pana, o tyle wszelako od niego się różnił, że gdy Książę Chorąży nie pijał nic nigdy okrom krynicznej wody, to potomek owych Kawalerów mieczowych, tej ostatniej jakoby nie znał — a wszystko za to co wodą nie było, a pite być mogło, ciągnął jak suseł, nie przebierając nawet w gatunku; prawdziwie po wojskowemu „Co na placu, to nieprzyjaciel.“ A poznać go było łatwo, gdy sobie podpił, bo trzeźwy lubo powoli, lecz dobrze mówił po polsku; nalawszy zaś w pałkę, prwdziwie jako każdy Niemiec język kaleczył, a to pryncypalnie z prędkiego gadania.

Porucznik Vitinghoff mógł mieć około lat trzydziestu ośmiu, kościsty, blady, oblicza ciemnego, włosów też ciemnych lecz rzadkich, wzrostu dość słusznego, jak to powiadają, zawiędły. Upiwszy się, zwykle kazał sobie słać koce na podłodze, na stole, łóżku czy tapczanie, wołał dwóch kozaczków z teorbanami, którzy grali mu a śpiewali, i on też śpiewał, kiwał się leżąc i wciąż popijał, aż zmęczony usypiał. Srogi kiedy podpity i siedział na koniu; gdy się wię-

cej upił, słuchał muzyki taczając się jakoby w kołysce, śpiewając sam i odurzając się, coraz bardziej, tracił animusz i siłę, wzdychał tylko i nucił coraz ciszej a ciszej, a podkomendni wtedy robili już co sami chcieli, — dla niego świat rzeczywisty ginął w marzeniach; w chaosie jakimś i w głębokim śnie wreszcie.

Właśnie też w ekonomskim rozlokowawszy się dworku, pan porucznik już dobrze podchmielony z nieodstępnemi dwoma chartami, bo był wielkim myśliwym, leżał w alkierzu na sofie, taczając głową, słuchając kozaczków i nucąc półgłosem coraz rzadziej, a będąc już niedalekim snu i zupełnego ubezwładnienia. Przed sienią stał szyldwach, w pierwszej izbie kilkunastu wojskowej chałastry piło, przechadzało się, rozmawiało i w karty francuzkie grało. Gdy konwój, który przywiódł Paszkowskiego, przed dworkiem się zatrzymał, nasz podróżny zsiadając z konia, rzekł do wachmistrza:

— Słuchaj Waszmość, choć wy tu mnie w tej chwili jakoby jeńcem macie, przecież nie myślcie sobie, żebyście mnie tak łacno w kaszy zjedli, boć i nie wiecie, co zacz jestem. Zostawiam tu konia na rękach Waszmości; jak mi tu rzemyczek zginie, odpowiesz mi za niego, a

ja sobie justycją znaleźć potrafię, również jak i za pilność wynagrodzę jak się patrzy.

— No, no — rzekł udobruchany wachmistrz; Jegomość widzę porządny człowiek, proszę być spokojnym o troki i konia. A ostrzegam, dodał cicho, i zbliżając się nieco, niech Jegomość z Porucznikiem będzie ostrożny, bo to — Panie Boże odpuść — w a r j a t.

Gdy Paszkowski otoczony strażą wszedł do alkierza, Porucznik podniósł najprzód głowę — łypnął oczyma — a następnie dźwigając się nie bez trudu, usiadł po turecku na sofie.

— *Was ist das?* mruknął ochrypłym głosem, i nie słysząc odpowiedzi, dorzucił głośniej:

— So to je?

— A nie wiem co to jest, przemówił żywo podchodząc podróżny; zatrzymano mnie na drodze siłą, i tu przyprowadzono. Nie rozumiem jakiem prawem, i *quo titulo* można w swoim kraju jadącego szlachcica zatrzymać.

— A! a — zo! szlachcica czcimać — teraz mój Pane rewolucion, konfederacion; ja mam brafo gasztego czimać — a masz Pan pass?

— Jaki pas? Co u kaduka! — widzisz przecie Waszmość, że jestem podpasany.

— Pan jest podpisany? Gut. Gdzie Pan

jest podpisany? Zeigen Sie mir — broszę pokazalem.

— Widzisz Waszmość przecie, że jestem podpasany na brzuchu — a kiego djabła Waszmości ta wiadomość?

— W a s?! krzyknął Porucznik, i chciał się podnieść z sofy, ale mu siły nie dopisały.

— So pan mne tu glupstwa gadaj. Pan jest Konfederat. Rewidiren! — krzyknął na całe gardło.

Kilku żołnierzy zbliżyło się do podróżnego.

— To rozbój na gładkiej drodze, zawołał Paszkowski czerwieniąc się od gniewu, i w odpornej postawie stojąc plecami do ściany.

— Niech Jegomość się nie sprzecza, rzekł z cicha bliżej stojący stary jakiś żołnierzysko, bo nasz Porucznik jak podpity a zły, to na żadne prawo nie patrzy — gotów i strzelić, a co Jegomość przeciw sile poradzisz?

Na tę uwagę, przygryzłszy tylko wargi, pohamował się Koniuszyc Brzeski, a Porucznik tymczasem krzyczał znowu: Rewidiren!

Paszkowski ani słowa już nie mówiąc, dozwolił się rewidować. Zdjęto mu odzienie aż do koszuli, przepatrzono i obmacano podszewki,

czapkę, buty, nawet w pochwę od szabli zaglądano. Porucznik zwlókł się z sofy, i kiwając się na nogach a sapiąc i mrucząc, sam wszystko przepatrywał. Podróżny uśmiechał się tylko z politowaniem, patrząc na gorliwość Krzyżaka.

Nie znaleziono nic.

— Gdzie jest furmanka temu Panu? zawołał Vitinghoff.

Paszkowski milczał.

— Ten Pan na koniu przyjechał, ozwał się jeden z szeregowców.

— Konfederat! — mruknął pod nosem Porucznik. — No — rewidiren tego koń!

Wyszli wszyscy przed dworek. Zdjęto mantelzak, przepatrzono ściśle, następnie poodpinano gurty, macając i rewidując barani waltrap, kulbakę i poduszkę, zaglądano pod tebinki — skończyło się na niczem.

Porucznik sapał tylko, nic już nie mówiąc, a gdy stary wachmistrz, któremu nasz podróżny nieznacznie wsunął coś w łapę, skończył już konia kulbaczyć, ozwał się Paszkowski podchodząc do Vitinghoffa:

— No, zatem rzecz skończona. A teraz powiedz mi Waszmość czy jesteś szlachcic?

— Was? ofuknął zapytany. Ich bin Baron von Vitinghoff — to, dodał uśmiechając się, to jest lepiej jak szlachcic.

— O nie! przerwał Paszkowski, mylisz się Waćpan; baron, w najlepszym razie, jeżeli prawdziwy, to tylko tyle co szlachcic, a u nas, mój Panie, szlachcic to samo co król, bo każdy *bene natus* nim być może, a Jan Zamojski, co się z siostrą Batorego ożenił, był tylko prostym szlachcicem. I musisz Waćpan wiedzieć, że się podpisywał *eques polonus, his omnibus par*. A zatem jeśliś Waćpan szlachcic, czy tam baron, to wiedzże o tem, żem i ja też szlachcic, a żeś mnie Waszmość ubliżył i despekt uczynił, pamiętaj, że się porachować musimy — i przyjdzie na to czas; a teraz bądź zdrów.

To mówiąc, wsiadł na konia i stępo ruszył w dalszą drogę.

Vitinghoff na razie nie znalazł jakoś ani argumentów ani odpowiedzi; na wpół pijany, wpół wytrzeźwiony, zgoła zbity z tropu chybionemi poszukiwaniami i prezencją a dobrą fantazją Paszkowskiego, stał z otwartemi ustami, mrugając oczyma wedle swego zwyczaju, a po chwili splunął, zaklął coś po niemiecku i powrócił do izby.

Paszkowski tegoż dnia jeszcze przez Bug się przeprawiwszy, przenocował w jakiejś karczemce na drodze i nazajutrz dodnia wyjechał, a prąc już lepiej swego konia, dojeżdżał do Boćków jeszcze przed wieczorem. Skierował się on wprost na gubernię, to jest mieszkanie tak zwanego gubernatora, czyli po dzisiejszemu rządzcy dóbr. Był nim niejaki IMPan Teodor Lutomski *vel* Lutyński, bo go tak niektórzy zwali, i on sam się dwoma nazwiskami urzędownie częstokroć podpisywał, a którego brat rodzony, Marcin, ekonomem był na jednym folwarku, Hrozówce w Słuczczyźnie, do Księcia Karola należącym. Lecz IMPan Marcin wielkiej poczciwości i zacności szlachcic był sobie jak naonczas mówiono „naturalista" *alias* symplicjusz, gdy IMPan Teodor, gubernator Boćkowskiego klucza, Mostowniczy Oszmiański, cale się wyżej nosił; bo to i statysta był i jurysta, i głowę posiadał nietylko do noszenia kapuzy albo konfederatki. To też JWielmożny Podczaszy W. Ks. Litewskiego *) i lubił go i w wielu używał sprawach, ile że na zaufanie pryncypała zewszechmiar istotnie zasługiwał.

*) Joachim Potocki; p. A.

IMPan Mostowniczy był pozytury poważnej, chłop nie mały, miąższy, zdrów, wąs nosił zawiesisty, czuprynę krótką i podgoloną jak przynależy; łapa jak u białowiezkiego niedźwiedzia — ale przytem *facundus*, lubił mówić i nierzadko górnolotnie nawet, a głos miał jakoby w bębny bił, donośny.

Domostwo, ku któremu skierował się nasz podróżny, czyli tak zwana gubernia, był to budynek drewniany, zczerniały od starości, długi bardzo, z czterema, po dwa na każdym końcu gankami, czyli ztąd i zowąd w dłuższych ścianach po ganku, z dachem wysokim łamanym, ubranym w liczne okienka. Obszerne izby na dole, których było bez liku, stanowiły mieszkanie gubernatora, składy, izby gościnne dla przyjezdnych; na drugim zaś końcu piekarnie, kuchnie i mieszkania dla służby. Okna prawie wszędzie w ołów oprawne, z małemi szybami lecz duże i nisko nad ziemią położone.

Widać było, iż budowla ta przetrwała już wiek przeszło i stawianą była fundamentalnie, jak to niegdyś bywało, i starannie; zdradzały to i okna i robota drzwi filungowych i klamki nawet, wyginane misternie; ale dawniejsze na ścianach szpalery zastąpiono teraz prostą glinką lub wapnem, a i drzwi nawet, piękną stolarszczyzną robione i bejcowane niegdyś, malowano również setki razy widać białą glinką, która odpadając w wielu miejscach, odkrywała drzewo i liczne owego malowania słoje.

Paszkowski skierował się do jednego ganku, który mu się porządniejszym wydawał, zsiadł z konia, a wręczając go nadbiegającemu od stajen parobkowi, posunął się do sieni. Zaledwie wziął za klamkę aby ztąd do pierwszej wejść izby, gdy drzwi żywo ze środka otworzono i na samym progu uderzył się prawie o kogoś, co chciał do sieni wybiegać właśnie, zaczem usłyszał lekki okrzyk, głosem bardzo mile brzmiącym:

— Ach! przepraszam!

Podróżny nasz ujrzał przed sobą bardzo miłe zjawisko: było niem śliczniuchne dziewczę, lat może szesnastu, która cała zapłoniona po uszy, stojąc przez chwilę jakby w odurzeniu rzuciła się wreszcie do ucieczki ku drzwiom, do dalszych izb prowadzącym. Co też widząc, oprzytomniony już Paszkowski, spostrzegłszy też, że dziewczę w progu się jeszcze obejrzało, zawołał:

— Za pozwoleniem Waćpanny, czy zastałem w domu IMpana Lutomskiego?

— Stryja? stryj jest w domu.

I zjawisko znikło za drzwiami.

Ale obraz jego nie znikł bynajmniej z wyobraźni Paszkowskiego, któremu, że tu najlepiej zastosujemy to wyrażenie, panienka nadzwyczaj wpadła w oko, tak — że zapomniawszy na chwilę o świecie, stanął zadumany.

Z owej jednak chwilowej zadumy, z której on sam sobie nawet niebyłby w stanie zdać sprawy, wyrwały go odgłosy na ganku, szurowanie nogami i potężnym basem wygłoszone, zapewne do parobka trzymającego konia, zapytanie:

— A kto to przyjechał?

I odpowiedź zaraz:

— Nie wiem, proszę Jegomości, ktoś n i e z n a k o m y.

Tu drzwi szarpnięto i wtoczyła się postać okazała IMpana Mostowniczego, w szaraczkowej kapocie i czarnych jałowiczych z długiemi cholewami butach; będąc zaś tak po domowemu ubrany, nieco się nawet z ambicji o swą powagę zakłopotał.

— Kogoż mam honor?.. począł wchodząc.

— Paszkowski, przerwał. przybyły, wysłany jestem od Księcia Wojewody z Białej, z depe-

szą, abyś ją WPan Dobrodziej dalej przesłał jak najspieszniej, wiadomą drogą do Wgo Podczaszego.

— Bardzo dobrze, o, bardzo dobrze, zawołał Mostowniczy.

— Prócz tego, dorzucił Paszkowski, jeśli jest co do przesłania do Księcia, mam polecenie przywieźć.

— Właśnie przybywasz Waszmość, że tak powiem, w samą porę — o, bo oto dziś otrzymałem również, że tak powiem, depeszę do Księcia Wojewody. Niechże Waszmość Pan raczy się rozgościć i wypocząć.

— Dziękuję — odrzekł Paszkowski, lecz muszę na chwilę pójść do mego konia.

— Niechże się Waszmość nie trudzi; bardzo proszę — o.

— Wybacz Pan, dodał młody człowiek uśmiechając się znacząco, i ciszej dorzucił:

— Tam mam właśnie depeszę zachowaną.

— A — a — o, to co innego.

Zaledwie się drzwi za Paszkowskim zamknęły, gdy gospodarz całem gardłem zawołał, aż się szyby zatrzęsły:

— Antek!

Lecz nim ów Antek się pojawił, z drugiej

izby ukazała się panienka, którąśmy już raz widzieli, i podbiegając z zaciekawionemi oczyma, a filuternym uśmiechem przymilenia, zapytała:

— Proszę stryjaszka. kto to przyjechał?

— O! jaka to Asindźka, że tak powiem ciekawa; jużeś to kawalera widziało — o.

— Spotkaliśmy się we drzwiach, odrzekła prostując się i podnosząc brewki.

— No, no — proszę! już się spotkali — o A wiesz - że Asińdzka kto to taki?"

— Właśnie, że nie wiem.

— To wiedz Asińdzka — o, że to jest IMPan Lanckoroński Paszkowski, Koniuszyc Brzeski, kurjerem przybyły od Księcia Wojewody z Białej — o, i biegaj, powiedz Imości niech nam tu dadzą czem, że tak powiem, zęby przetrzeć i gardło popłukać, nim się wieczerza uczciwa przygotuje — o, bo to gość nieladajaki.

Dziewczynka wybiegła.

Niebawem wrócił Paszkowski i depeszę Księcia wręczył i tymczasem dano przekąski i parę butelek miodu, a gdy gość z gospodarzem rozprawiali już w najlepsze, dało się słyszeć od progu:

— Pokój temu domowi!

— I temu kto mówi — dokończył gospodarz, a zwracając się do Paszkowskiego dodał:

— Przedstawiam — nasz paroch, *ritus graeci* — Jegomość Ksiądz Bałandowicz, a to IMPan Paszkowski, od Księcia Wojewody.

Proboszcz był wzrostu średniego, tuszy dobrej, łysiuteńki, jak to powiadają, jak kolano, z tyłu tylko głowy i koło skroni resztki siwobląd włosów pozostały; twarzy pełnej, wesoły i ruchliwy, lat około sześćdziesięciu.

— Jakież tam nowiny, iż tak rzekę, WaszmośćDobrodziej nam przywozisz?.... mówił proboszcz rzucając czapkę i zacierając ręce. Co tam słychać?

— Nic tak dalece nowego, odparł Paszkowski chodzi wieść tylko, że IMPan Podskarbi koronny *) znajduje się teraz w Białej na Szląsku, i że tam jakoby nową zawiązuje konfederacją.

— O! widzisz Waszmość, rzekł proboszcz, zwracając się do Mostowniczego, ja mówiłem; a co? Podskarbi, iż tak rzekę, będzie robił na swoję rękę i zobaczysz Waszmość, teraz dopiero będzie, iż tak rzekę porządnie.

*) Wessel; p. a.

— Co mi Jegomość, że tak powiem, prawisz o Podskarbim, będzie tylko wichrzył Mosanie i tyle!

— Jak to wichrzył, iż tak rzekę? Konfederacja się rozpada, trzeba ją wiązać na nowo.

— Za pozwoleniem, tu trzeba, że tak powiem dyplomacji, zawołał gospodarz, stosunków z potentacjami postronnemi, a zwłaszcza aljansu z Turcją, a co tu Jegomościny Podskarbi! że tak powiem, pomoże. Tu jedynie JWielmożny Podczaszy Litewski trzyma w ręku *nervus rerum*, boć wiadomo przecie, że ta familia z dawien dawna ma z dworem tureckim relacje.

— At, machnąwszy ręką — przerwał proboszcz — u Waszmości zawsze tylko, iż tak rzekę, Podczaszy; chwali się to, bo chlebodawca, acz nie neguję i ja, że potentat wielki, ale — dorzucił, zrobiwszy minę kwaśną i głos zniżając, Acpan sam wiesz — libertyn.

— Libertyn!! — powtórzył basem Mostowniczy, no to cóż? To — że tak powiem, nic niema do rzeczy. A u Jegomości albo Podskarbi albo ten Puławski — o! *causiperda* jakiś! Piękny mi marszałek!

— Co Waszmość gadasz! co gadasz! wykrzyknął żywo proboszcz — Puławski to człowiek, iż tak rzekę, wielki. No — dodał zwracając się do Paszkowskiego, a o Puławskich co nie słychać?

— Fama niesie, że młodzi Puławscy przedostali się też na Podgórze z nad granicy Tureckiej, a o Kaźimierzu mówią, że to jest prawdziwie wielkiego animuszu człowiek.

— A widzisz Waszmość — zawołał znowu proboszcz — ja to, iż tak rzekę, dawno mówiłem.

— Da się to, że tak powiem, widzieć — odparł kiwając głową Mostowniczy.

— Ja Ichmościom Dobrodziejom powiem — przerwał Paszkowski — niech robi kto może i jak może — byle skutek był.

— O! toś Waszmość świętą, iż tak rzekę, prawdę powiedział, praca bez skutku nic nie warta: *est labor ingratus, quem praemia nulla sequuntur.*

— Tak, tak, to i ja aceptuję — zawołał Mostowniczy — ale niech Jegomość też pamięta, że owe skutki nie łacno z razu rekognoskować można, bo drugie przysłowie niesie, że: *diabolus est simia operum divinorum.*

Tu gospodarz uśmiechnął się tryumfująco widocznie zadowolony z gruntownego, jak mu

się zdawało argumentu, który przeciw swemu adwersarzowi wynaleźć potrafił.

Okazało się tedy, że jak proboszcz tak i Mostowniczy szczerze obadwaj sprzyjali konfederacji, ale każdy z nich rzeczy i osoby ze swego sądził stanowiska, i najlepiej życząc sprawie, mimowoli skłaniali się w kierunkach do różnie w kraju kupiących się stronnictw. Owych zaś stronnictw przedstawiciele wyższe w hierarchii społecznej zajmujący stanowiska, lub zgoła i kierownicy sami, nie zawsze niestety, wolni byli od osobistych widoków. Tak Krasiński i Wessel kierowali nawą konfederacji w krajach Cesarza Rzymskiego lub Saksonji, każdy w swoją stronę — tak w Turcji Joachim Potocki Podczaszy koronny, wichrzył przeciw Puławskim, a w kraju mnożyła się liczba marszałków do nieskończoności. I jak tu między Mostowniczym a proboszczem, tak i tam nie było zgody. Sypano dukaty dla dobra sprawy chętnie, lecz nikt się jakoś nie zastosowywał do dewizy, jaka na nich stała wybita. A że teraźniejsze pokolenie, być może iż dukatów nie widziało nawet, przypomniemy więc, że był na nich napis: *„concordia parvae res crescunt"*. Otóż to pono owej *concordyi* najbardziej u nas brakowało.

Przekąska, podana na przybycie Paszkowskiego, dawno już była skonsumowaną i obie butelki po miodzie stały próżno, do czego i proboszcz dopomógł sumiennie, gdy z oznajmieniem gotowej wieczerzy weszła pani Mostowniczyna, sucha i chuda jak deska, istne przeciwieństwo męża, a za nią bratowa pana gubernatora z córką Kunusią czyli Kunegundą, którąśmy już pierwej poznali. Obie te panie właśnie przed paru dniami przybyły ze Słuczczyzny w odwiedziny. Nastąpiły więc prezentacje, po których gospodarstwo prosili gości do obszernej naprzeciw położonej izby, gdzie już stół do wieczerzy wcale dostatnio i porządnie był zastawiony. Towarzystwo powiększyło się jeszcze kilkoma osobami płci obojej, z miejscowych, do zarządu domu lub dóbr należących.

Przypadkiem czy rachubą czyją, młody nasz podróżny znalazł się obok panny, zaco jak widać było z humoru i miny, wcale się nie myślał gniewać; korzystając też z dość gwarnej rozmowy towarzystwa, i nie tracąc czasu, zwrócił się do swej młodziutkiej sąsiadki.

— Na długo tu Panie przybyły? spytał.

— O, tylko na parę dni, odrzekła, podnosząc i spuszczając zaraz oczy.

Rozmowa się urwała na chwilę.

— Panie w Słuczczyznie mieszkają?

— Tak jest, mój ojciec jest w służbie Księcia w Hrozówce.

— A, i ja także, odrzedł Paszkowski.

Znowu chwila milczenia, którą na ten raz przerwała trochę nieśmiało i mocno rumieniąc się panienka:

— Ale — pan bywa w Słuczczyznie.

— Jeszczem tam nigdy nie był, podchwycił żywo młodzieniec, ale mam nadzieję że będę — niezawodnie, dodał silniej.

Panna na nowo upiekła raka.

— Do tej pory, przerwał znowu Paszkowski, mieszkałem przy ojcu w Brzeskiem, i żal mi było go opuszczać, bo blizkich krewnych nie mamy, a on sam został teraz w domu; ale, trudna rada! w obecnym czasie za piecem siedzieć nie można, więc przybyłem do Białej, zkąd pod nową chorągwią pójdziemy wkrótce niechybnie.

— Ach! przerwała panienka, to okropna rzecz ta wojna — strzelają, niech Bóg broni! mogą zabić!

— Zapewne że mogą, ale — prócz starego ojca, nie byłoby komu mnie żałować.

— Zkądże pan może wiedzieć?

— A! gdybym wiedział, rzekł Paszkowski, uśmiechając się, że panna Kunegunda za mnie choć zdrowaśkę zmówi, to pewny jestem, że z najgorętszej potrzeby wyszedłbym cało.

Sąsiadka upiekła trzeciego już z kolei raka, i po chwili zmięszania odrzekła z cicha:

— Ja się zawsze modlę za wszystkich... bliżej znajomych.

— Kiedy tak, podchwycił Koniuszyc, to trzymam Panią za słowo.

— W czem? spytała zdziwiona.

— Że będę miał zdrowaśkę, bo ja w tej chwili siedząc tu, jestem Pani najbliższym, a że jestem znajomym, więc jestem najbliższym znajomym, temu pani nie zaprzeczy?

Kundzia roześmiała się wesoło.

— Więc będę miał zdrowaśkę? dodał Paszkowski — z wiecznym odpoczynkiem?

— O nie! zawołała żywo, zapominając się panienka — bez odpoczynku.

Tu runęły ławy, stołki i krzesełka, wstawano od stołu.

Po wieczerzy towarzystwo gwarzyło jeszcze czas jakiś, Koniuszyc rozmawiał ze starszemi paniami, wreszcie gdy te odeszły i proboszcz

się oddalił, Mostowniczy wręczył mu niewielką kartkę misternie zwiniętą, dla oddania Księciu Wojewodzie.

Nazajutrz równo ze wschodem słońca prawie, nasz młodzian dobrze wypoczęty, był już na nogach i zaraz też wyszedł obejrzeć swego konia, którego znalazł jak należy napasionym i oczyszczonym; okulbaczył więc go sobie i omusztukował sam, a dopiero zawoławszy któregoś ze stajennych, zalecił, aby go popilnował i niebawem pod ganek podał, poczem zawrócił się do domu. Dochodząc do gubernii, spostrzegł już tam ruch ranny, a co więcej zobaczył siedzącą na ganku pannę Kunegundę, która nadzwyczaj pilnie ze spuszczoną głową zajętą była układaniem bukietu z kwiatów, których też kupa spora leżała na ławce przy niej i na ziemi walało się ich nie mało odrzuconych, jako nieużyteczne.

Wstrzymał się więc w ganku, a po przywitaniu i chwilowej rozmowie, podejmując jakiś kwiatek z ziemi i bawiąc się nim, rzekł:

— Szkoda, taki piękny kwiatek Pani odrzuciła.

— Ten daleko piękniejszy, odrzekła Kundzia uśmiechając się mile i wyciągając rączkę z drugim — tamten trochę zwiędły.

Koniuszyc żywo pochwycił kwiatek wraz z rączką, którą serdecznie przycisnął.

W tej chwili ukazał się w progu Mostowniczy.

— Cha! cha! zaśmiał się głośno, Acańswo już widzę przy śniadaniu.

Młodzi zarumienili się oboje.

— Ale to na drogę kochanemu Koniuszycowi nie wystarczy, zatem proszę do środka.

Winna polewka i dymiące zrazy już czekały na stole, Paszkowski zaś widząc podnoszące się słońce, rad nie rad spieszyć musiał z posiłkiem, a szczerze i serdecznie przez całe towarzystwo pożegnany u ganku, dosiadł z fantazją kasztanka i skłoniwszy się jeszcze kilkakroć, ruszył w drogę.

— Gładki kawaler, rzekł, patrząc za odjeżdżającym Mostowniczy.

— Niczego, dorzuciła pani bratowa, otyła jejmość ekonomowa z Hrozówki, a matka Kundzi.

— I z bardzo dobrej familii, i ma przed sobą krescytywę, ciągnął gospodarz. A wiesz Imość bratowa, że on do Kundzi koperczaki stroił?

— Co pan brat gadasz — jakie koperczaki?

— Ba — albożem ślepy! owszem, daj Boże, przeciem to ja, Kundzię, iż tak rzekę, nie wymawiając uchowaj Boże, w moim domu prawie wychował i edukował — o — ale właśnie się cieszę. Smalił, smalił koperczaki.

— Ale panie bracie, dworujesz sobie, ani na nią spojrzał, tyle co przy wieczerzy trochę tam z sobą pogadali.

— Aha, zaśmiał się Mostowniczy, tak, tak, a tu dziś rano w ganku widziałem przecie, jak Kundzię pocałował...

— Matko Najświętsza! — wykrzyknęła ekonomowa — da — dajżeż pokój, czy to może być. A to rozbójnik! Kundziu, Kundziu! nieszczęście...

— Cicho, cicho — daj Imość pokój, przytrzymując za rękę uspakajał, sam śmiejąc się do rozpuku gospodarz, powiadam pani bratowej, że pocałował — ale w rękę.

— W rękę? a no, ta także gadaj, oddychając wolniej, mówiła pani Lutomska — a to powiada, Matko Najświętsza! pocałował...

Gość znikł już dawno z oczu patrzących, rozeszli się wszyscy, na ławce leżał rozsypany bukiet, a panienka lubo wyszła i usiadła w ganku, patrzyła w dal, zadumana, bynajmniej

nie spiesząc się już jakoś do układania kwiatków...

Koniuszyc zmarudziwszy nieco w podróży do Boćków i na miejscu, postanowił sobie pospieszać z powrotem, a nawet, jeśliby się udało, nie nocować wcale. Rozpoznawszy bowiem drogę, miarkował na pewne, iż około północy mógłby stanąć w Białej, nawet oszczędzając nieco swego ulubionego wierzchowca; ten bowiem, jako dobrej krwi konie, po dwóch dniach umiarkowanego marszu, mógł dalej robić daleko forsowniejszy — jest to właściwość wszelkich rodowych koni w warunkach umiarkowanego użycia.

Wyjechawszy tedy Paszkowski rano, po dwóch nie zbyt długich popasach tegoż dnia, jeszcze sporo przed zachodem słońca przez Bug się przeprawił. Przebywszy lasy z lewej strony Bugu położone, gdy już minął Czuchów, wyjechał na rozleglejsze pola i zadumany pofolgował zmęczonemu nięco koniowi; mijając właśnie ostatni skraj lasu, spostrzegł na polu zbliżających się w jego kierunku na drogę trzech jeźdźców; w których, gdy się już trochę zbliżyli, łatwo rozpoznał naprzód jadącego porucznika Vitinghoffa, za nim zaś jednego szeregow-

ca i kozaczka parę chartów prowadzącego na smyczy.

Spotkanie to nie musiało się wydać Koniuszycowi nieprzyjemnem, myśl jakaś przebiegła mu tylko po głowie, widocznie prawie, bo się wnet uśmiechnął i rzekł, bliżej nieco podjeżdżając do Porucznika:

— A! czołem Waszmości, wyjechałeś widzę z chartami, chociaż to i nie pora po temu, suponuję zatem, że w tych stronach konfederatów niema, kiedyś się mógł od swej komendy oddalić.

— O! to Pan! — zawołał Vitinghoff — rozpoznając podróżnego, a ja myślę, że konfederata jest, kiedy Pan tu jest; teraz ja Pana nie będę tak puścić.

— Tak?! więc Waszmość mię zatrzymasz? — spytał z ironicznym uśmiechem Paszkowski.

— A, *natürlich*, trzymajcie go — krzyknął Porucznik do swoich ludzi.

I sam też począł nacierać koniem.

Paszkowski widząc na co się zanosi i dobywając pistolet, uskoczył z koniem kroków kilkanaście; tymczasem rozległ się strzał wymierzony przez szeregowca, który widocznie spudłował — Paszkowski też natychmiast mu

odpowiedział, a żołnierz trafiony w ramię jak kłoda zwalił się na ziemię, koń zaś jego chrapnąwszy i zadarłszy ogon, harcować zaczął po polu. Vitinghoff w zapamiętaniu swojem źle się obrachował; samotrzeć wyjechawszy mógł mieć tylko z jednego szeregowca pomoc, kozaczek bowiem prowadzący charty wcale nawet nie był uzbrojony. Po wystrzale Paszkowskiego Vitinghoff z dobytą szablą rzucił się ku niemu, lecz tu Paszkowski znakomitą miał przewagę, koń bowiem jego doskonale osadzony na zadzie, pod umiejętną jeźdźca ręką wyborne robił wolty, Paszkowski przeto na koniu mógł się bić na pałasze lepiej jeszcze aniżeli pieszo, ile że sam rzut konia niesłychanej siły cięciu dodawał. Po pierwszych więc kilku złożeniach Porucznikowi z ręki wytrącona szabla z brzękiem wyleciała w powietrze; przytomny wszelako a zacięty, wyrwał on z olstry pistolet i o trzy kroki prawie wymierzył, gdy silne płazem uderzenie schyliło broń ku dołowi w chwili wystrzału — tak, iż kula lekko drasnęła po łopatce własnego konia Vitinghoffa. Niemiec jeszcze przytomności nie stracił, uskoczywszy więc z koniem kroków kilkanaście porwał za drugi pistolet i znowu wypalił — spostrzegłszy zaś z poza dymu, że

przeciwnik na koniu siedzi i sam już zupełnie będąc rozbrojonym, kopnął się do lasu.

— Bywaj zdrów Poruczniku! zawołał za nim śmiejąc się Paszkowski — do widzenia!

I zwróciwszy konia skierował się w swoją stronę. Lecz za chwil kilka uczuł w prawym bucie jakieś ciepło niezwyczajne, domyślił się więc natychmiast, że go kula Vitinghoffa dosięgnąć musiała, to też i ból lekki w łydce uczuwać począł. Podjechawszy przeto kilkadziesiąt kroków, zsiadł z konia pod figurą, dla opatrzenia rany, kula ledwo się po wierzchu ośliznęła; dobył więc z burki kawałek chleba, zduszonym miękiszem zranione miejsce obłożył i chustką obandażował. Tym sposobem zabezpieczywszy się od upływu krwi, lubo niewielkiego, bezpiecznie w dalszą wyruszył drogę.

Kiedy Koniuszyc wjeżdżał na dziedziniec zamkowy, zegar wybił właśnie pierwszą godzinę po północy. Poleciwszy więc stróżowi konia, udał się wprost do mieszkania Marszałka.

Zbudzony Klimaszewski nie pomału się zdziwił widząc Paszkowskiego z powrotem, lecz gdy okazało się, że Książę spał już od dawna, polecił mu stawić się nazajutrz rano. Paszkowski wrócił jeszcze do konia, którego w stajni

ulokowawszy, poszedł dopiero do swego mieszkania. Stary Koniuszy Brzeski chrapał po swojemu i ani śniło mu się nawet, kiedy syn powrócił i do spoczynku się ułożył.

Nazajutrz młodzieniec nasz zbudziwszy się uczuł większy trochę ból w ranie, choć była nie straszną, lecz i noga okazała się nabrzękłą, ubrał się wszelako, aby być gotowym na zawołanie.

Wkrótce nadbiegł Skirmunt wzywając go do Wojewody.

Książę znajdował się w komnacie obok sypialni, położonej w prawem skrzydle Zamku; była ona cała wybita przepysznemi gobelinami, fabryki Radziwiłłowskiej, ujętemi w buażerje rzeźbione, które szeroką lamperją u dołu obiegały pokój w około; umeblowanie artystycznym charakterem odpowiadało dekoracji całej komnaty, stanowiąc całość malującą wytworny, acz nieco przesadny smak z końca XVII. stulecia. Dwa okna tej komnaty wychodziły na dziedziniec zamkowy, przy jednem z nich stał Kamiński czekając na rozkazy.

Książę w rannym kitlu, który wszelako nie był bynajmniej francuzkim robdeszanem, siedział przy obficie zastawionym stole, na którym

prócz kawy, mnóstwo też innych, nie ze wszystkiem lekkich przekąsek się znajdowało. Przed Księciem siedziała patrząc mu pilnie w oczy faworytka wyżlica Nepta, czekając łaskawego kąska. Nieco opodal, przy drugim końcu stołu znany nam już uprzednio Ojciec Definitor, lubo na rożku krzesła umieszczony, popijał kawę z godnym pochwały apetytem.

Książę w złotym był humorze, śmiejąc się z konceptów Definitora, gdy właśnie wszedł Paszkowski.

— A! witam Waszmości, zawołał Wojewoda spostrzegając go wchodzącego, zwinąłeś się, Panie Kochanku gracko.

Paszkowski skłoniwszy się, poszedł nieco kulejąc i wręczył w mały rulonik zwiniętą depeszę.

— Mówił mi Kamiński, Panie Kochanku, że miałeś jakiś *casus* w drodze, musisz mi to odpowiedzieć. A cóż to? dodał biorąc depeszę, co to, Panie Kochanku? maść jakaś od fizyka czy co? he?

— Depesza, proszę Waszej ks. Mości.

— Hm — zwinięta jak medykament, a piżmem śmierdzi, Panie Kochanku dałbym gardło, że ją chyba Lubomirska przewoziła.

Rozwinąwszy papier przebiegł go Książę oczyma dość szybko i machnąwszy ręką rzucił na stół niedbale.

— No cóż tam, Panie Kochanku było w drodze, zawołał Wojewoda wesoło, plejzerowany widać jesteś — ale pono nie straszno, no, bądź Waszmość pewnym, że Ci to na dobre wyjdzie — jakże to, Panie Kochanku było?

— W tamtą stroną jadąc, proszę Waszej ks. Mości, obskoczono mię we wsi koło Klimczyc *insperate*, żem się dla liczby napastnika bronić nie mógł.

— Kto? Panie Kochanku.

— Komenda z pułku przedniej straży IMPana Byszewskiego i Porucznik, jakiś niemiecki baron, kazał mię rewidować do koszuli...

— Hm, Panie Kochanku, mruczał sapiąc i kręcąc głową Książę, *infamis*, — hm — i cóż?

— Trzęśli wszystko, mantelzak, kulbakę.

— No? dodał niespokojnie Wojewoda — a moja depesza?

— Nieznaleźli, proszę Waszej ks. Mości.

— A! toś łepski, Panie Kochanku, gdzież ją miałeś schowaną?

— Tak samo jako i tę właśnie — w munsztuku.

— Jakto w munsztuku?

— Mam proszę Waszej ks. Mości konia miękkoustego, co grubego potrzebuje wędzidła, więc kazałem zaraz w nocy tu w Białej zrobić ślusarzowi grube z dętej blachy żelazo do pyska, puste w środku, śrubowane i byłem już o spoim spokojny.

— Dalipan, Panie Kochanku, rzekł Książę, zwracając się to do Kamińskiego to do Definitora, o to mi inwencja! no! łepski Waszmość jesteś, nie darmo masz Karol na imię, ale gdzież Waszmość napytałeś guza?

— Wracając nazad, spotkałem tegoż samego Porucznika, jak sobie samotrzeć z chartami wyjechał, tratując po młodem zbożu, więceśmy się trochę rozmówili, ciągnął uśmiechając się Koniuszyc, ja go tam nieco obciąłem, a on mnie kulką drasnął po nodze, ale też w końcu i uciekł haniebnie.

— No, Panie Kochanku, nie ma co mówić, sprawiłeś się Waszmość i expedyte i po kawalersku, zostaniesz przy mnie i przekonasz się, że Radziwiłł umie o swoich przyjaciołach pamiętać. Idźże teraz wczasu użyć, a niech Ci cyrulik dobrze ranę opatrzy. A co? wołał Wojewoda, zwracając się do Definitora, a niedowierzałeś Waszmość, a straszyłeś różnemi ewentami, że pilnują, że depeszę złapią, he? a widzisz Jegomość? Z głową wszystko zrobić można. Tak to i ja miałem podobny wypadek, ba, jeszcze gorszy! Mój przyjaciel, Białozor, zakochał się w żonie pewnego Weneckiego kupca i błagał mnie a suplikował, żebym ją Panie Kochanku, wykradł dla niego. Nie było rady. Wykraść nie wielka sztuka, bo sama oknem wylazła, ale uniknąć pogoni, Panie Kochanku, w tem sęk. Więc tedy ja przebrałem się za Niemca, a ona lubo była cudnej urody białogłowa, umalowała się, Panie Kochanku, na małpę, i to tak, proszę uniżenie, misternie, żeby jej i rodzona matka nie poznała. Więc sobie spokojnie pokazując ludziom sztuki po miasteczkach, przeszliśmy aż do samej granicy. Mąż gonił, Panie Kochanku, bo był głupi, i dogonił, ale gdzie jemu, i nie poznał! Bo to, Panie Kochanku, kobiety różne sztuki umieją!!

— I ja też proszę Waszej Książęcej Mości, rzekł Definitor, znam jednego szlachcica, który niedawno przewiózł wino tak zgrabnie, że choć celnicy wiedzieli że go wiezie, a odebrać nie mogli.

— To nie może być, Panie Kochanku, jakim sposobem? *quo titulo?*

— Extra, prostym sposobem, ciągnął Reformat. Szlachcic wiózł beczułkę circa dwóch garncach małmazji, a że przez zdzierstwo celnicy chcieli brać jakieś extraordynaryjne myto, oponował i płacić nie chciał. Ci nie puszczali, tamten założył się z nimi, że wino w ich oczach przewiezie i nic nie zapłaci, co jeśliby dokazał, celnicy zobowiązali się dać szlachcicowi dwa razy tyle wina ze swojej kieszeni. Owoż co on robi? Odszedł sobie nie opodal, lecz za ów graniczny, jak go tam Niemcy zowią, szlaban, siadł, dobył szpunta i jął sobie pić wino powoli. W jakie ćwierć godziny w ich oczach wypiwszy do kropli, przyszedł z beczułką próżną a z małmazją w brzuchu, i musieli go, *nolens volens* przepuścić, a co więcej, dać przegrane wino. Tak szlachcic i sam się uraczył i jeszcze więcej wina bez opłaty przywiózł do domu.

— A to gracz! Panie Kochanku, śmiał się Książę, i w dobry wprowadzony humor, długo jeszcze z Definitorem gawędził.

Młody Paszkowski, po owej tedy wycieczce do Boćkow, zyskawszy wielkie JW. Wojewody, fawory pozostał w Białej; staremu zaś Koniuszemu zapewnił Książę, że o synie jego pamiętać będzie teraz i w przyszłości. Zaraz też

stary przekonał się o tem, gdyż Marszałek oznajmił, że Książe przeznaczył dla Karola, konia do wyboru z całym moderunkiem, a nadto piękny pas lity słuckiej fabryki, wręczając przytem *eo instante* assygnację do kassy na pięćdziesiąt dukatów, *titulo* forszusu na garderobę, aby się na pokojach Księcia *honeste* mógł prezentować. Gdy zaś miejscowy medyk zalecił młodemu Paszkowskiemu, aby dni kilka z izby nie wychodził, stary poszedł submitować się Księciu, podziękować i pożegnać, prosząc wszelako usilnie, aby synowi nie kazał siedzieć w domu, jako mającemu gorącą chęć experymentowania sił swoich i animuszu w polu, co też Książę Wojewoda przyrzekł solennie.

II.

Po wyjeździe Księcia Karola Radziwiłła i przymusowem niejako osiedleniu się jego w Białej, jakeśmy to wyżej powiedzieli, Nieśwież przez wojska nieprzyjacielskie zajęty został. Milicję rozbrojono, obsigillowano arsenał, a z szlachty i niedobitków konfederatów

z partji Szymona Kossakowskiego, później Hetmana i Wojewody Witebskiego, ci którzy się tam byli schronili, gdy się który wymknąć nie umiał, dać musiał parol, że się więcej bić nie będzie. Zresztą w zamku żadnej nie uczyniono naówczas szkody i w gwarnej stolicy Wojewody Wileńskiego po odciągnięciu wojsk, głucha a niezwykła zaległa cisza.

Przyjaciele i domownicy Księcia, znając z jednej strony jego zupełne poświęcenie się sprawie konfederacji, z drugiej zaś nieugięty charakter w powziętem raz postanowieniu, a dalej, różne wojny domowej alternatywy, przemyślać zaczęli i krzątać się około bezpiecznego ulokowania miljonowych wartości mobiljów, klejnotów i skarbca Radziwiłłowskiego.

Książę Wojewoda nauczony już poprzedniem doświadczeniem, zabrał z sobą na wypadek wszelki znaczną ilość kosztowności i drogocennych wyrobów.

Znana jest historja owych dwunastu złotych i tyluż srebrnych Apostołów Nieświezkich, które istotnie pewien czas były w zastawie, lecz jak wszystkie inne tego rodzaju przedmioty, zostały później wykupione. Z tych, jednego w czasie odwiedzin królewskich w Nieświeżu

rokuPańskiego 1785., Książę ukryć kazał, a gdy król zwiedzając skarbiec rzekł złośliwie, że ów Apostoł zapewne Muzułmanów nawracać poszedł, przemówkę do wędrówek exulanckich czyniąc.

— Mylisz się Wasza Królewska Mość, poszedł on niewiernym opowiadać sławę panowania WKr. Mości. Nieznana wszelako czytelnikowi być może, równie ciekawa jak prawdziwa historja dukata księcia Radziwiłła. Miał go z sobą Książę Wojewoda, czasu przymusowych wędrówek za granicami kraju i woził wraz z innemi klejnotami, a potrzebując pewnego razu zaciągnąć pożyczkę, wezwał królewieckiego kupca Saturgusa dla układu. Kupiec ten, czyli jakby dziś powiedziano bankier, twardy był do interesu. Nie przewidując, a raczej zbyt może dobrze konkludując, jaki być może koniec wojny domowej, lubo znał bez wątpienia kolosalną fortunę Wojewody, bał się wszelako na niepewno ryzykować grubszych kapitałów. Po różnych tedy z Księciem nawet samym, choć on tego nie znosił, i z plenipotentem jego układach w pertraktacjach, gdy się już rozchwiać miała, Książę niecierpiący interesów wszelkich i pojąć nie mogąc, ażeby dla niego, Radziwiłła,

kredyt mógł być trudnym, powstrzymując się tylko od wybuchu, rzekł wreszcie zniecierpliwiony:

— Widzę, Panie Kochanku, że Waszmość Radziwiłła masz już za bankruta — zatem, mniejsza o to — zróbże mnie Asan tylko jedną grzeczność.

— Co Książę Pan każe? spytał Saturgus.

— Zmienisz mi Waszmość, Panie Kochanku, dukata.

Milionowy kupiec uśmiechając się nieco ironicznie, odrzekł wszelako z wielką uniżonością:

— U najmniejszego kupczyka może Wasza Książęca Mość taką rzecz kazać załatwić.

— O nie! jabym u Waszmości, Panie Kochanku chciał zmienić.

— Jeśli taka wola Waszej Książęcej Mości — odrzekł Saturgus — mogę to uczynić, i sięgnął po sakiewkę.

— Zaczekaj Asan — rzekł Książę — a odwracając się zawołał: Przynieście tu Radziwiłłowskiego dukata.

Niebawem dwóch sążnistych hajduków wniosło płaską a okrągłą skrzynię, pąsowym kordybanem obitą. Otworzono; leżał w niej na

aksamicie tejże co i wierzch onego sepetu barwy, dukat bez różnicy żadnej, do zwykłych holenderskich podobny, z tą tylko dyferencją, że miał około dwóch stóp diametru, a prawie półcalowej był grubości.

Na ten widok Saturgus osłupiał; stał z oczyma i ustami nawet otwartemi, sam niewiedząc, ani co począć, ani co mówić miał. Dalejże więc w przeprosiny a protestacje; zrobił się jako wosk miękki i już bez targów wszelkich — kredyt Wojewodzie otworzył.

Nie przeszkadzało to wszelako do wzięcia później w zastaw przez niego całych dóbr Zabłudowskich, Słuckich i Nieświezkich, które po powrocie dopiero Księcia przez komisję *ad hoc* wyznaczoną, wykupione zostały.

Wysokiej wartości klejnoty, jakie Wojewoda wywiózł z sobą z Nieświeża, były jednakże bardzo małą tylko częścią tego, co się na miejscu zostało. Skarbiec ów cały w magnificencji swej prawdziwie królewskiej, przedstawił się oczom ciekawej publiki, czasu odwiedzin króla Stanisława Augusta w Nieświeżu, o czem, jeźli dziś z żywego słowa wiadomości zasięgnąć niepodobna, toby się jednak gdzieś niegdzieś doczytać można. I rzecz dzi-

wna zaiste, Książę Wojewoda żył prawdziwie po monarszemu, garściami sypał pieniądze, setki i tysiące szlachty obdarzał a uposażał, tak iż go zwali niektórzy marnotrawnym nieraz, a jednak przez cały wiek swój i życie niekrótkie, fortuny nie stracił. Po zgonie jego i likwidacji dziesiąta część tylko odpadła dla wierzycieli. Owoż — wziął po nim spadek synowiec, ów Książę Dominik, wychowany po nowomodnemu, kochał się tylko w angielskich koniach i w stajni nawet pono przemieszkiwał; gości tam nawet lubo nielicznych przyjmując, dworu nie utrzymywał, ludzi nie obdarzał, a fortuna w niewielu latach nieomal cała się rozchwiała. Gdzież się tedy owe setki miljonów podziały, zapyta może niejeden. Odpowiedź krótka: zabrały je: nowy obyczaj, cudzoziemczyzna, karty i wojaże. Tak ni Bogu ni ludziom pożytku, ani pociechy z nich nie zostało.

Jakeśmy tedy wyżej powiedzieli, krzątano się w Nieświeżu po cichu i przemyśliwano nad ukryciem ogromnej ilości drogocennych przedmiotów, które w wypadkach wojennych na łup chciwości ludzkiej łatwo narażone być mogły.

Ostatnich dni Listopada 1768 roku, w dolnej, tak zwanej, marszałkowskiej sali Nieświe-

zkiego zamku, zebrani byli dość liczni domownicy i niektórzy z przyjaciół Księcia Wojewody. Był tedy plenipotent Księcia, IMPan Mikuć, który się wkrótce właśnie do Białej wybierał, IMPan Józef Sobieski, dalej z dworzan, Węcławowicz, Zabłocki, Zienkowicz, Józef Szabański, Koniuszy naówczas, i kilku innych, z przybyłych zaś IMPan Płaskowski, Okolniczy Smoleński, człek poważny, a jako w rzeczach krajowych biegły statysta, wielce szanowany, przyjaciel księcia, IMPan Ślizień, Podkomorzy Słonimski, IMPan Borowski Leon, Komornik Słonimski, wielki Księcia ulubieniec, domownik i przyjaciel *intimus*, a także IMPan Boreysza, Porucznik Chorągwi Petyhorskiej, który wraz też z IMPanem Mikuciem miał do Białej jechać — był też nakoniec wezwany do pomocy, jako wielce zaufany, IMPan Marcin Lutomski, ekonom folwarku Hrozówki z dóbr Księcia Słuckich, człek prosty, ale dla powszechnie znanej zacności charakteru i poświęcenia dla domu Książęcego szanowany wielce, ile że choć bez edukacji wysokiej, rozum miał niepośledni.

Wieczór to był, jako zwykle w jesieni ciemny — a wietrzny i chmurny, na przestronnym kominie gorzał ogień potężny, stół do wie-

*

czerzy odkryty już był, którą właśnie dawać miano, a że się służba gęsto uwijała, więc ci, którzy mieli z sobą coś sub secreto do mówienia, oddalali się to we framugi okna, to zgoła w oddaleniu poszeptywali, przechadzali się tam i sam, lub głośno rozpoczynając obojętniejszy dyskurs zbliżali do komina — gdzie młodsi dość wesoło gawędzili — śmiejąc się ze strzelistych konceptów zawsze wesołego IMPana Komornika. Wesołość ta wszelako nie była widać szczerze z serca płynąca — bo częstokroć zalegała cisza zupełna, że tylko szum wiatru słyszeć się dawał z podwórza; wszystkich jak się zdaje tłoczyły myśli jakieś spokoju niedające.

Podano wieczerzę — wypito przed nią starki, goście i domownicy zasiedli, cicho było jak mak siał, tylko łyżki o talerze szczękały, istnie jak w refektarzu, brakło tylko, aby kto pod ten czas czytał na głos żywot jakiego świętego. I choć to w Nieświeżu, była ona wieczerza jakoby stypa żałobna; stół był obfity — były i gąsiorki z winem i miód nieostatni, ale wesołości i gwaru żadnego. Dopiero po ciepłym krupniku a zrazach i kaszy — po kilku też lampkach wina i miodu, usta się otwierać znowu poczynały, a gdy się już i służba oddaliła, ozwał

się IMPan Podkomorzy Ślizień, do Pana Mikucia i Sobieskiego się zwracając;

— Tandem — już tedy o skarbiec spokój.

— Zdaje się, odparł IMPan Mikuć, zabezpieczyliśmy się o ile możności. Lochy boczne sekretne, dobrze ukryte, śladu nie ma, tak są pozamurowywane. Sprowadziliśmy z dóbr Poleskich dwóch starych mularzy, ludzi uczciwych, którzy pod przysięgą pracowali, samiśmy im pomagali — aleśmy ledwie mogli pomieścić skarbiec — jużby tam nie wetknął i słomki — tak ciasno.

— Cha! cha! zaśmiał się IMPan Borowski pierwszy raz w życiu, dla przyjaźni Księcia przyszło mi próbować, robić kielnią miasto szabli — ale to, uczciwszy uszy, paskudna robota, człowiek się chlapie w błocie jak nieboskie stworzenie.

— Nie narzekaj Waszmość Panie Leonie, przerwał Szabański — Bogiem a prawdą przy samej mularce nie wieliśmy się natrudzili — wszystko było gotowe prawie i z dawien dawna na taki ewent przygotowane, cegły i wapno i piasek po lochach — pomagali nam uczciwie młodsi Ichmość dworzanie, ale z tem noszeniem — ustawianiem, a pakowaniem — o! jeszcze mi w krzyżach łupie.

— I wszystko schowane? spytał IMPan Płaskowski.

— Wszystko co było kosztownego w pałacu i cały skarbiec bez excepcji.

— Wszelako, przerwał stojący z dala z założonemi wtył rękami, milczący i do rozmowy dygnitarzy niemieszający się do tej pory Lutomski, przepraszam, że ja tu się ośmielę swoje trzy groszy wsadzić, ale kiedy mnie JWielmożny Pan, przyznam Panu, wezwał do pomocy przy tej robocie, od dni pięciu jak tu jestem, dopiero mi przychodzi na myśl, że bodaj czy się o jednej rzeczy bardzo kosztownej nie zapomniało.

— O czem? razem prawie spytali niespokojni IMPan Mikuć i Sobieski.

— O kolasie, odparł ekonom.

— O jakiej? zagadnął, dotknięty w swoim właśnie wydziale Szabański.

— A o tej złotej — ślubnej Książęcej.

— Jak Boga kocham! wykrzyknął zrywając się z ławy Koniuszy, prawda! stoi w masztarni nieruszona.

— A! — to Waszmości rzecz była pamiętać, przerwał żywo i widocznie nieukontento-

wany IMPan Mikuć — zwracając się do Szabańskiego.

— *Mea culpa, mea culpa* — jak Boga kocham, wołał Koniuszy— prawda — ale bo znów jakeście mnie Asaństwo zagnali do roboty przy skarbcu, na śmierć o karecie zapomniałem.

Kolasa, o której mowa, istotnie była rzeczą bardzo kosztowną, ceniono ją na dwadzieścia dwa tysiące czerwonych złotych, prócz osi bowiem, buksów i ressorów, wszystko co w kolasie jest metalem, było ze złota, i obręczy od kół nie wyjmując; pudło zaś całe pokryte było złotemi, misternie rzeźbionemi blachami. Kolasa ta rozbierać się dawała na części; ależ to nie puhar, buzdygan, kulbaka, albo guz do kontusza, żeby ją bądź gdzie z łatwością ukryć było można, rozebrana bowiem na części i zapakowana, na dwóch dobrych furgonach ledwieby się zmieściła.

— Bardzo źle, — przerwał IMPan Sobieski — gdzie my ją teraz schowamy?

— Już kiedy się ta kolasa została, to widać takie przeznaczenie — ozwał się z uśmiechem IMPan Borowski, ja najlepiej poradzę, co z nią uczynić.

— Co?— spytał niespokojny IMPan Mikuć.

— Najlepiej — odparł Komornik — posłać ją Jegomości Panu Stolnikowi do Warszawy i niech sobie peregrynuje, gdzie go oczy poniosą.

— Et! Waszmości bo Panie Leonie, zawsze się żarty trzymają — odrzekł kwaśno plenipotent — to nie facecja, krocie w tem leżą — trzeba coś obmyśleć, nie marudząc. Właśnie nam IMPan Podkomorzy przywozi nowinę, że wojska nadciągają, tu niema momentu do stracenia, Bóg jeden wie co będzie.

— Że wojska ciągną, rzecz niezawodna, dorzucił Okolniczy — spotkałem dziś Puzynę, którego za Słocimem zatrzymano i przetrzęsiono do koszuli — ledwie się wyrwał z duszą.

— Panie Mikuć, rzekł żywo podchodząc Szabański — rzecz jest nagła, więc nie ma co; Waćpanowie myślcie gdzie kolasę ulokować, a ja lecę do rozbierania i tymczasowo ułożę w paki.

— A no — dobrze, mruknął plenipotent, weźcież Waszmość starego Semena i Iwaśka do pomocy.

— Chodźcie Ichmość ze mną, zawołał do Węcławowicza i Zabłockiego.

Borysza też i Sobieski, którzy z sobą właśnie rozmawiali, porwawszy za czapki, wybiegli żywo z sali wraz z Koniuszym.

— Mnie się widzi, cedził powoli dobywając złotej tabakiery JMPan Podkomorzy, że — acz tu się stał *error* nie mały z tą kolasą — wszelako w lochach zamkowych musicie Waszmość przecież znaleść jakieś jeszcze na nią *locum*, na *modelusz* potajemnika.

— Już nie ma miejsca przerwał machając rękoma IMPan Mikuć, skryte lochy pełne, zamurowane, zasmarowane, zasypane. W otwartych nie ma co stawić — bo to to samo co w masztarni.

— No—to w Dominikańskich albo w klasztorze dodał Okolniczy, tam przecież jakiś potajemnik musi się znaleść.

— Ale gdzie tam, zawołał zdesperowany Mikuć — i u Dominikanów i u Bernardynów i u Jezuitów i wszędzie co było potajemników to już pełne — naszego i cudzego — zamurowane, ani śladu. — Zresztą — czasu mało — to jest casus fatalny, a to wszystko przez tego Koniuszego, uczciwy człek, ale — pędziwicher, niech go Pan Bóg sekunduje takiego nam piwa nawarzył — ale Sobieski też, żeby o tem zapomnieć! Co tu począć? — co tu począć, sam nie wiem.

Nastała chwila milczenia. Stary Lutomski przysłuchując się rozmowie Panów, stał opodal

jak pierwej założywszy ręce za siebie—wreszcie zbliżając się do plenipotenta

— Proszę Wielmożnego Pana, rzekł, jabym się tę kolasę, przepraszam Pana, deklarował przechować.

— Zmiłuj się Panie Marcinie — gdzie? gadaj — zawołał IMCPan Mikuć zwracając się niespokojnie do ekonoma.

— U mnie w Hrozówce.

— Czyś Waćpan sfixował? gdzie w Hrozówce przechowasz?

— Mam proszę Wielmożnego Pana miejsce, zda mi się, przepraszam Pana bardzo dobre.

— Gdzie? na ekonomji?

— Na ekonomji.

— Ależ tam drewniane budynki, żadnego takiego miejsca nie masz — chyba myślisz Waszmość zakopać, to ja sobie myślałem, ale to niepodobna, bo i dojść łatwo i zniweczy się na nic.

— Boże uchowaj! rzekł trząsąc głową ekonom, nie zakopię, ale to się rzecz taka przyznam Panu, stała. Ja w alkierzu odnawiałem podłogę, bo była — het, ze wszystkiem zgniła i przypadkiem natrafiłem na loch pod samym

rogiem alkierza, bardzo zamczysty i porządny, co o nim nikt przyznam Panu, nie wiedział i nie wie, bo to ja sobie sam tam dłubałem, chcąc poprawić troche wpierwej. Więc myślę sobie teraz czasy niespokojne to jakby sam Pan Bóg dał w samą porę — przydać się może. A to się podłogą zakrywa co przyznam IMWPanu i sam djabeł nie znajdzie.

— Dobra rada — rzekł Podkomorzy stukając palcem w tabakierę.

— Wiesz Waszmość co, Panie Marcinie, ozwał się po niejakim namyśle Mikuć, niech Ci Bóg płaci, wybawiłbyś nas z wielkiej mizeryi — ale jak przewieść? mogą złapać w drodze.

W tem IMCPan Płaszkowski Okolniczy wziął Pana Mikucia pod ramię, a odprowadziwszy w stronę, rzecze mu do ucha:

— Ale czy Waszmość pewny jesteś tego ekonoma?

— Jego? odparł żywo Pan Mikuć — na miły Bóg — jak siebie samego, to jest człek prawdziwie *intaminatae fidei.*

— A no — to co innego, kiwając głową, mówił Okolniczy i dodał głośno:

— Wojska ciągną od Słonima — to nie-

ma strachu żeby transport spotkali, bo do Hrozówki directe w przeciwną stronę.

— E — e — dodał Podkomorzy, folwark niepokaźny, na uboczu, śmiało można ominować że tam nikt i zaglądać nie będzie, to najlepsze miejsce do schowania.

— No, to nie ma co, przerwał IMPan Mikuć kiedy Waszmość już to bierzesz na siebie, mam nadzieję, że sobie dasz radę. Idź-że Panie Marcinie do Szabańskiego niech spiesznie pakują, weźcie myśliwskie szarabany i — z Bogiem — ruszajcie, aby prędko. Ale — dorzucił do wychodzącego Lutomskiego, nie bierzcie lepiej służby zamkowej — sami sobie dawajcie radę.

W kilka godzin potem, a była już może jedenasta godzina w nocy, karetę rozebraną na sztuki upakowano i złożono na dwa furgony. Na jeden siadł Szabański sam z Węcławowiczem, na drugi Zabłocki i Zieńkowicz. Lutomski zaś na swoim siwym stępaku naprzód się wysforował i tak ruszyli do Hrozówki. W noc ciemną wietrzną i chłodną, przebyli szczęśliwie całą drogę, lubo ona wcale ani dobrą ani wygodną nie była, i około trzeciej z północy wjechali do folwarku. Lutomski wyprzedziwszy furgony

wpadł na dziedziniec, uwiązał stępaka przy furtce od ogrodu, a sam zaszedłszy z drugiej strony domostwa pukać zaczął w okiennicę alkierza, gdzie w błogim śnie spoczywała pani ekonomowa.

— Otwórzcie, wołał półgłosem.

— Matko Najświętsza! krzyknęła zbudzona pani Lutomska, kto tam stuka?

— Otwórzcie prędzej.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — Kundziu uciekaj! — Kto tam stuka?

— To ja, odrzekł mąż, Marcin, otwórz Imość prędzej.

— Boże łaskawy! cóż to się stało?

— Nic się nie stało, otwieraj Imość żywo.

Słychać było jak się Pani Lutomska na bosaka z łóżka zerwała, pięty stukały o podłogę, czelpotały ubrania, przeszedł więc mąż na stronę ganku, a już też i furgony nadjechały. Ekonomowa wdziawszy jakąś narzutkę i chustką się okrywszy otworzyła niebawem, Lutomski ognia wykrzesał — zaczęto znosić paki.

— Co to jest? spytała męża ekonomowa.

— Dowiesz się Jejmość potem, odrzekł Lutomski, niema czasu gadać, ot lepiej przynieście starki i wędliny, bośmy głodni i zziębli.

Wybiegła więc gospodyni na drugą stronę dworku, gdzie się już i Panna Kunegunda oddawna ze swym negliżem skryła. Panowie tymczasem paki poznosili sami i ulokowali w loszku, a napiwszy się starki, niebawem wsiedli na furgony i pocwałowali do Nieświeża.

Cisza zaległa znowu ekonomski dworek.

— No, rzekła, stając przed mężem Lutomska, gdy się już znaleźli w alkierzu, a on zabierał się zrzucać kapotę, no — co to jest? da gadajże Jegomość, bo mnie taka ciekawość pali, że aż w dołku gniecie.

— Cicho! odparł mąż, kładąc palec na ustach. Pamiętaj Imość najprzód, że to jest wielka tajemnica.

— Tajemnica? wytrzeszczając oczy, powtórzyła machinalnie prawie żona.

— Wielka tajemnica, potwierdził mąż, zaklinam Cię na Najświętszą Matkę Ostrobramską, i na wszystkie świętości, abyś mi dochowała sekretu, żeby nikt na świecie, ani ojciec rodzony, ani dziecko, ani sługi, uchowaj Boże o tych pakach nie wiedzieli.

— Jezu Najsłodszy! zawołała z cicha ekonomowa.

— Słuchaj Imość, dorzucił żywo podchodząc mąż, gdyby ktokolwiek o tem się dowiedział, zgubiłabyś i mnie, i siebie i dzieci.

— Matko Najświętsza! wykrzykiwała znowu swą zwykłą litanię żona. Da, wy może kogo po drodze obrabowali, czy co? Niech ręka Boska broni!

— Cicho-bo! at! głupstwa Imość gadasz, przerwał Lutomski, a obejrzawszy się ostrożnie, rozpowiedział żonie co się w pakach zawiera. Ekonomowa słuchała chciwie kiwając na dwie strony głową, ręce złożywszy jak do pacierza i powtórzyła półgłosem:

— Kolasa! złota kolasa, Matko Najświętsza!

A gdy skończył, dodała:

— No, dak cóż my teraz zrobimy?

— Nic, cicho siedzieć i pilnować do szczęśliwszych czasów i powrotu Księcia, a jakby mnie gdzie wypadło odbiedz, to Imość siedź jak kura na jajach — nic nie pomoże.

— No, no, niechaj! odparła ekonomowa, ale jak przyjdzie niedziela albo święto, to co? takiż trzeba do kościoła!

— Jak do kościoła, to albo Imość albo ja a jedno musi być w domu.

— Matko Najświętsza! szeptała ciszej ko-

bieta; oto! no! — dak cóż robić — trzeba pilnować, taki pewno Książę nas za to wynagrodzi.

— O! Imość tylko o nagrodzie myślisz! to Mosanie, przyznam panu, nie nagroda, ale uczciwość szlachecka i powinność nasza każe pilnować pańskiego dobra; a jego wola albo łaska nagrodzić czy nie, to do nas nie należy.

— No — jużci, to wiadomo, ja wiem, że ty Marcinku podściwy człowiek... ale...

— Tak, ciągnął przerywając Lutomski gdy się już i do snu zabierał; ale jakby nieprzyjaciel w czasie wojennym natrafił się broń Boże, a wsypali nahajów pytając o karetę — to co Imość zrobisz, hę?

— O Rany Chrystusowe! żywo wyszeptała wzdychając ekonomowa; da niegadajże Marcinku takich rzeczy przeciwku nocy — Niech Bóg broni. Och! na co tobie było brać tę kolasę. Ale powiedz mnie serce, szeptała z cicha po chwili, czyż ona het! całkiem złota?

— A jużciż złota.

— Het całkiem, i dyszel złoty?

— A rozumie się.

— I koła złote?

— A jakżeż, złote.

— No — tak powiedz mnie — a jak gdzie najedzie na co paskudnego?

— At — gadasz Imość — to cóż, wyczyści się i tyle.

— Matko Najświętsza! westchnęła raz jeszcze ekonomowa. A to! no! Calutka złota!

Tak w strachu i marzeniu o kolasie Państwo Lutomscy usnęli wreszcie, a na folwarku nikt się ani obudził ani domyślił o nocnym wypadku. Służba tylko folwarczna dziwiła się nazajutrz mocno, że ekonom w nocy powrócił, co wszelako łatwo wojenne a niespokojne czasy tłómaczyły.

Przechowanie kolasy jako i ukrycie skarbca Nieświeskiego odbyło się w jesieni 1768 r. wkrótce po odjeździe Księcia Karola. Odpowiedzieliśmy wyżej o przybyciu do Białej Bieżyńskiego, co już zaszło w pół roku później, bo z końcem wiosny 1769 roku.

Bieżyński ukrywał się czas jakiś na zamku Bialskim, wreszcie zniknął wraz z młodym znajomym naszym Paszkowskim, którego Książę mu polecił. Wkrótce też na widowni wypadków wojennych ukazał się nowy oddział konfederacki z sześciuset kilkudziesięciu ludzi złożony

z czterema działami pod dowództwem Bieżyńskiego, przy którym znajdowali się — wyborny jeździec i wyćwiczony w wojskowości Rotmistrz Szyc, z Radziwiłłowskiej milicji, który później czas długi trzymał się IMPana Kazimierza Pułaskiego i wielce mu był pomocnym — dalej Koniuszyc Paszkowski, Porucznik Borejsza i wielu innych ze szlacheckiej młodzieży. Oddział Bieżyńskiego dość szczęśliwe, acz nie wielkie parę razy stoczył potyczki, lecz, czy nieopatrznie, czy jak inni dowodzą rozmyślnie przez Bieżyńskiego prowadzony, zapędził się aż pod Białystok, gdzie przez siłę przemagającą porażony na głowę poszedłby był całkowicie w rozsypkę, gdyby nie ów Szyc właśnie, Węgier dzielny, który niedobitki zebrawszy posunął się z niemi w głąb Litwy; tam zaś obszerne a niedostępne puszcze, a w nich bagna i moczary, wypocząć i zformować się im na nowo dozwoliły.

Między towarzyszami Szyca znajdowali się również ocaleni szczęśliwie Borejsza i Paszkowski. Konfederaci rozłożyli się obozem w puszczy Rożańskiej dokąd niedobitki i nowi ochotnicy powoli się ściągali. Wszakże za ludźmi, pożywieniem i furażem, trzeba było robić ciągłe

i niezbyt bezpieczne wycieczki; tu Borejsza, jako znający miejscowość a niemniej i Paszkowski znaleźli obszerne do popisu pole. Oparli się oni nie raz aż w okolicach Słucka i Nieświeża bo z dóbr książęcych największe otrzymywali zapomogi.

Dworek w Hrozówce był wcale miłem ustroniem; domek sam stary, nie zbyt wielki ale porządny i wygodny, przez wiek poczerniały z dachem słomianym wysokim, z gankiem o czterech słupkach, miał tę prawdziwą cechę dawnych dworków szlacheckich, jakie dziś już się coraz rzadziej spotyka. Przed nim roztaczał się obszerny dziedziniec pokryty piękną murawą lubo w miejscach wyjeżdżonych nieco piaskowaty; okolony on był porządnemi i obszernemi budowlami gospodarskiemi z dwoma wjezdnemi wrotami po dwóch bokach, które dawnym obyczajem z góry związane belką z furtkami i schodkami obok, pokryte były słomianemi daszkami. W samym środku dziedzińca znajdowała się głęboka studnia z korytami po obu stronach, przed którą kłaniał się ustawicznie skrzypiący żuraw, a sięgając do jej głębi, dobywał zimną i czystą jak kryształ wodę, ku pożytkowi ludzi

i domowego dobytku. Dworek od dziedzińca jeszcze oddzielony był małemi sztachetkami, które osłaniały od szkody kwiatki przed oknami sadzone, ganek zwracał się ku wschodnio-południowej stronie. Po za dworkiem, dość obszerny sad osłaniał domostwo bogatą swą zielenią i staremi drzewami, które gęsto, zwłaszcza przy budynku, podszyte były krzewami bzów i czeremchy. Do ogrodu przytykał od strony prawej i za dworkiem ku zachodowi, pięknym kobiercem murawy podszyty gaj brzozowy, w którym co raz głębiej, co raz więcej przerzucała się sosnina, aż wreszcie gaj przemieniał się w poważny i tajemniczo szumiący bór sosnowy. Tu z małemi przerwami ciągnęły się dalej lasy, których główną wagę stanowiła puszcza Różańska. Od strony zaś wschodnio-południowej dworku, czyli od frontu po za budowlami gospodarskiemi, grunt lekką pochyłością staczał się na blizką łąkę, którą wstęgowem korytem przerzynała mała struga, Morochanką zwana.

Był to ranek jednego z ostatnich dni czerwca, słońce otoczone lekkiemi różowemi chmurkami podniosło się już nieco do góry, po nocy pogodnej siwo-biała, brylantowemi kolorami po-

łyskująca rosa świeciła na listku każdym i na murawie obszernego dziedzińca w Hrożówce, a gdzie je ludzka otrąciła noga, ciemniał ślad jakby tropy po śniegu. Woń bzów i czeremchy napełniała powietrze. Cicho było we dworku, bo zaledwie czeladź ruszać się zaczęła, już wszelako stary Lutomski ukazał się na ganeczku. Był to mężczyzna wzrostu średniego, zbudowany silnie, ogorzały, twarzy poważnej, wąs siwo szpakowaty zwieszał mu się swobodnie niżej brody; twarz zaś nabierała pewnego wyrazu surowości przez to jeszcze, że dla drżącej ręki nie mogąc się często golić, pozwalał po parę tygodni odrastać siwej i szorstkowatej brodzie. Lutomski ubrany był w szarym dymowym kitlu, z pasem rzemiennym, w długich butach juchtowych i słomianym kapeluszu. Jako oznaka władzy, czy nad stępakiem czy też może czasem i nad krnąbrnym jakim wyrostkiem, zwieszał mu się u prawej ręki na rzemyku porządny Boćkowski bizun — w sarnią łapkę oprawny. Wyroby Boćkowskie tak były niegdyś pod tym względem wsławione, że je na całą Polskę rozkupywano, a faktem jest historycznym, iż gdy Szwedzi nałożyli byli na Boćki haracz wojenny, miasto w braku monety wypła-

ciło go samemi wyrobami swemi — alias dyscyplinami, bizunami, harapami i t. p. Narzędzie to wszelako w ręku starego Lutomskiego było pono straszne jedynie dla siwego stępaka, który nie raz korzystając z zapatrzenia się swego pana w pole, niby to od niechcenia i z nienacka nawracał ku domowi, co najgorzej starego gospodarza niecierpliwiło; w takim też wypadku, siwek dostawał oprócz wielu epitetów, które nie wiemy o ile go obchodziły, kilka zamaszystych pod brzuch monitorów.

Właśnie ekonom schodził już z ganku, gdy lubo nieco przygłuchy usłyszał silny tentent koni, i w tejże chwili prawie ukazało się w bramie z prawej strony dziedzińca położonej trzech jeźdzców na dobrych koniach, którzy prosto ku dworkowi się skierowali. Stary, w bramie już rozpoznał strój i rynsztunek konfederacki, rozchmurzył się więc i czekał.

Przybyli zatrzymali się przed gankiem i pozeskakiwali z koni; starszy, którym był IMPan Borejsza porucznik, witając serdecznie Lutomskiego rzekł, ukazując na młodego towarzysza:

— Przedstawiam, IMPan Lanckoroński Paszkowski, koniuszyc Brzeski.

Podczas powitań i przedstawień, na znak

uczyniony przez gospodarza, luzak z gośćmi przybyły poprowadził konie ku stajniom, a gwarna przed gankiem rozmowa spowodowała ciekawy fenomen, który wszelako nie uszedł bacznego oka Paszkowskiego. Owóż spostrzegł on, żywemi promieniami rannego słońca oświecone dwoje dużych ciemnoszafirowych oczu, przysłonionych końcami białych paluszków—co wszystko razem ukazało się w wyciętem serduszku okiennicy; widzenie to jednak znikło w okamgnieniu, po czem słyszeć się dał niebawem szmer, chodzenia i uderzania drzwiami w mieszkaniu. Nim gospodarz zaprosił przybyłych do domu, rzekł po przywitaniach:

— Jakimże u Boga sposobem przybyliście tu Waćpanowie, komendy stoją naokoło w Nieświeżu, w Słucku, w Słonimie.

— Ba — odparł śmiejąc się Borejsza, bo my wcale nie z tych stron jedziemy, ale od Rożańskiej puszczy.

— A! to chyba — przerwał Lutomski — ja bo słyszałem jak Was, przyznam Panu, wykierował ten tam jakiś Bierzyński, ale i tak nie wiem, jakeście się tu przebrali.

— Lasami i nocami, rzekł Paszkowski —

wstyd powiedzieć, że jak wilcy chodzić musimy, i tak żeby nie Szyc, lichoby nas wzięło.

— A prawdaż-to, spytał Lutomski, że jakoby pod Białymstokiem stary Hetman*) w czasie utarczki ładunków wam dosyłał?

— Najświętsza prawda, i nie tylko ładunki ale i ludzi co miał sposobnych do broni.

— Hm — mruknął stary kiwając głową— kommedje! szwagier króla Jegomości, no! i niewpadłoż później po bitwie żołnierstwo do pałacu? nie rabowali — nic mu nie zrobili?

— Nic — broń Boże, śmiejąc się odrzekł Paszkowski, stary Hetman zapisał wszystko żonie, Pani Krakowska siostra przecie królewska, jakżeby ją stronnicy królewscy krzywdzić mieli!

— A toć by jeszcze, dodał Borejsza, i stary Hetman mógł w takim razie zapisy odwołać.

— Prawda i to, potakiwał gospodarz; a obejrzawszy się, że już okiennice pootwierano, prosił gości do środka.

Izba bawialna, a zarazem i jadalna na lewo z sieni niebyła wprawdzie salonem, jakby to w obecnym czasie uczyniono niechybnie bodaj w

*) Branicki Klemens, szwagier królewski.

najmniejszym dworku szlacheckim, nie było luster, ani mebli mahoniowych, ale po staroświecku zdobiły ją tylko czystość wzorowa i porządek. Sofka dla honoracjorów i kilka krzesełek, kolbuszowskie biuro, mebel najparadniejszy, stół duży, kilka na oknach wazoników z kwiatkami — oto cały sprzęt i umeblowanie. Ściany bielone wapnem, podłoga domyta jak lustro. Widać jednak było w Hrozówce obecność Panny Kunegundy, o której słów parę powiedzieć nam wypada.

Dwóch młodszych synów oddał Lutomski do szkół w Nowogródku, jedynaczka zaś starsza, Kundzia, wychowywała się przez lat dziesiątek i przebywała teraz jeszcze często po kilka miesięcy na rok u stryja swego Mostowniczego w Boćkach, który jako bezdzietny, nieźle się mający, a przytem sam już więcej wykształcony, polubiwszy synowicę, podjął się dać jej wychowanie lepsze, niż to, jakieby mogła przy zacnych i uczciwych lecz w świętej prostocie żyjących rodzicach otrzymać. To też ile razy Kundzia przybyła do Hrozówki, wszystko się tu zmieniało do niepoznania, cały dom i otoczenie więcej jakoś estetyczny przybierało charakter. Więc z pierwszej izby uciekał do

alkierza duży zielony kufer, motki, płótna i pęki ziół zasuszonych cofały się do spichlerza lub spiżarni, ogromny z prawej strony drzwi stojący komin, starowina poważny, ubierał się w niewinny i wstydliwy z białego perkalu fartuszek, który jego czarne i nieco powybijane czeluście osłaniał. I tak jakoś robiło się czysto, miło, schludnie i porządnie, że nawet sama pani ekonomowa z czasem zaczęła się do tych, jak nazywała, nowomodnych wymysłów przyzwyczajać. Lubo nie raz Panna Kunegunda musiała staczać, chociaż lekkie utarczki z matką, uważającą czystość samą za porządek i elegancję, gdyż o estetycznych warunkach, wyobrażenia nawet ogólnego wyrobić ona w sobie nigdy w żaden sposób nie mogła.

— Da coby to szkodziło, mówiła do córki, żeby tu sobie na ścianie motki wisiały?

— Nieładnie, kochana Mamo.

— Jak to nieładnie? przędziwo takie co choć na olenderskie serwety, no! Skończenie świata, co to teraz za moda!

— Albo ten kufer — mówiła, składając ręce i przypatrując mu się z upodobaniem, taki kufer! a obacz jak kuty; przedsie to jeszcze mój panieński, od nieboszczki Pani Starościny.

Twój ojciec jak do mnie jeździł w zaloty, to bywało zawsze na nim siadał. Oj! oj! oj! gdzie te czasy? Dobrze by i tu ktoś na nim przysiadł sobie czasem.

— Ale bo, proszę mamy, kufra nie wypada w pierwszej izbie stawiać, a prócz tego, że od jabłek bardzo mocny zapach daje.

— Ot, jeszcze czego? da-dajże pokój! to źle jak pachnie, czy co? To ja zumyślnie jabłka w nim trzymam i larendogrą kropię, bo to od molów najlepszy sposób. Ale u was — Matko Boska! jakieś nowe mody. No, no — da jak sobie chcesz, jak wynieść to wynieść, ale taki zawsze jakoś ładniej z kufrem.

Zawsze też w takich wypadkach wygrana była po stronie córki — ulubionej jedynaczki, która zresztą jak się zaczęła przymilać, to nie tylko matkę i syna ale i najzaciętszego konfederata jakim był IMPan Paszkowski naprzykład, mogłaby była o czem chcieć przekonać.

Gdy panowie nasi znaleźli się w izbie, a gospodarz do odpoczynku zapraszał, nadeszła niebawem i Pani Lutomska, a za nią, mocno zarumieniona córka. Nowe więc nastąpiły przywitania, za któremi immediate podano wódkę i przekąski, przyniesione nie przez lokaja

wprawdzie, ale przez dziewczynę przystojną i schludnie lubo po wiejsku odzianą. Borejsza wnet przystąpił do objaśnienia interesu, prosząc imieniem rotmistrza Szyca za wyraźną wolą Wojewody, aby z dóbr książęcych dołożono starań o wzmocnienie oddziału i dostarczenie wszelkich potrzebnych rekwizytów; gdy zaś wszędzie na około, dość silne stały komendy wojsk, bądź królewskich, bądź sprzymierzonych, których obecność nie dozwalała łatwo Borejszy i Paszkowskiemu zapuszczać się do punktów głównych, jak Słuck albo Nieśwież, przeto prosił Lutomskiego o przesłanie tych wiadomości gdzie potrzeba. Nasi bowiem konfederaci zamierzali dostać się jeszcze koniecznie do Niehoreły, folwarku trzymanego z dóbr Radziwiłłowskich w zastawie przez IMPana Borowskiego, komornika Słonimskiego.

W czasie gawędy Borejszy z gospodarzem, Paszkowski korzystał ze sposobności dyskurując z kobietami, a głównie podobno z panną, matka bowiem bezprzestannie to wychodziła to powracała, aby znów zerwać się za chwilę dla gospodarskich zatrudnień, frasując się szczególnie o dobry obiad i uczciwe gości przyjęcie. Młoda więc para, której wzajemna sympatja

co raz widoczniejszą się stawała, szczebiocąc jak ptaszęta i co raz się bardziej zbliżając, o Bożym zapomniała świecie, do czego wybornie, a bodaj czy nie umyślnie, pomagał gawędziarz Borejsza, nieskończone mając rzeczy do opowiadania.

Wśród gwaru rozmowy otworzyły się drzwi ostrożnie i ukazała się postać nowa. Był to Chaimek, drobny handlarz ze Słucka, w całej okolicy znany od dawna; mały, blady, z rzadko zarastającą ciemną bródką, skurczony, kłaniający się co minuta, trwożliwy i pokorny. Kupował on skórki, cebulę, drób, pierze, próżne butelki, stare ubrania, słowem co się tylko kupić dało, byle nie za wielkie pieniądze.

— A co powiesz? rzekł zwracając się gospodarz.

— Nu — mówił kłaniając się po kilkakroć nisko, prawą ręką podnosząc jarmułkę, a zawsze patrząc w oczy, choć był zgięty we dwoje żydek, nu — ja zaszedłem, może jest co do sprzedania?

— Niema nic, odparł gospodarz, ruszaj z Bogiem.

— Z przeproszeniem Jegomości, może są skórki, to ja bim kupił.

— Mówiłem ci, że niema, możesz iść.

— Nu, ciągnął uparcie Chaimek, ale jak bi Panbyk dał żebi bili to niech Jegomość nikiemu nie sprzedaje, to ja kupię.

— Głupiś, rzekł uśmiechając się Lutomski. Ale — dodał, zkąd idziesz?

— Nu? zkąd mam iść? iz domu.

— Ze Słucka prosto?

— Ze Słucka.

— Jest tam jeszcze wojsko?

— Dla czego nie ma bić? aj waj — co tam sze robi, tak sze bili niech Panbyk broni!

— Bili się? zawołali ze zdziwieniem goście i gospodarz.

— Aj! gewalt jak sze bili!

— Z kim? gadaj.

— Z kim sze mieli bić? sami ze sobą, przychodzili do kramów — na rynku zaczęli sze gniewać, jeden jednemu dał u —w mordę drugi drugiemu w pisk — uf! taki strach! Później wzięli szę do zidków — gewałt! zidki do szkoły. — Tam dużo zidków zabili — na śmierć zabili! Połowa zidków ze Słucka zginęło.

— Jakto może być, zauważał gospodarz, kłamiesz.

— Co ja mam kłamać? jak Boe kocham prawda, wołał Chaimek, połowa żydków zginęła. — Nu, dodał uspakajająco — oni sze potem znaleźli.

— At, głupi — zaśmiał się Lutomski, a jakież tam wojsko stoi?

— Jakie wojsko? rzekł swoim zwyczajem powtarzając zapytanie Chaimek i ruszając ramionami, — obe ja wiem jakie wojsko?! ale pewno nie Konferaty, bo Konferaty to jest delikatny naród. Nu ale co ja Jegomości powiem, dodał ciszej i podchodząc nieco, Jegomość wie co ja jestem przichylny żidek, woni tu pewno dzisiaj będą przychodzić.

— Tutaj? zapytał zdziwiony gospodarz.

— Pewno tutaj, bo ja widział jak oni wichodzili i w tę strone szli wczoraj, oni na drodze gdzieś nocowali pewno.

— A dużo wojska?

— Z kąd ja mogę wiedzieć.

— No — mniej więcej, jakie wojsko? wiele?

— Ja miszlę, rzekł Chaimek trzęsąc głową, tych co z piechotem idą, pewno więcej jak sto — może trzysto, a tych co na koniu jadą, to jest dwa kawałki.

— Jak to dwa kawałki? spytał śmiejąc się już do rozpuku Borejsza.

— Jak Boe kocham dwa kawałki, protestował Chaimek, a u wkażdym kawałku będzie może trzydzieści.

— Dwa szwadrony niezawodnie, rzekł Paszkowski.

— Dobrze Chaimku, żeś nam to powiedział, przerwał gospodarz, dostaniesz za to kieliszek wódki.

— Bardzo dziękuję, kłaniając się mówił żyd.

— A pamiętaj, dodał Lutomski, nieidźże teraz w tę stronę zkąd ciągnie wojsko.

— Aj! gewałt, zawołał Chaimek, na co mnie tego, o b e ja głupi! jakby ja ich dopędził, toby oni jeszcze chcieli żeby ja wisiał

Po wyjściu żyda Lutomski rzekł, zwracając się do swoich gości:

— Wiecie panowie co, choć mnie bardzo przyjemnie ugościć Waszmościów u siebie, jednak wybaczcie, ale przyznam panom, nie radziłbym, abyście Waszmość tu na królewskich czekali, samotrzeć przecie całej komendzie nic nie poradzicie.

— Jużci naturalnie, odparł Borejsza, nie mamy co na nich czekać, ale znów i umykać

zaraz, nic pilnego. Każemy luzakowi trzymać konie za sadem w brzezinie, a pan chłopaka wsadź na lamus, niech z dachu wygląda, jak będzie pora, to zrejterujemy.

— Niech będzie i tak, to dobra inwencja, a może żyd bredzi, dróg na świecie wiele, i nie każda przecież do Hrozówki prowadzi.

Chłopaka więc wysłano, aby się wdrapał na dach, co mu widocznie niewymowną nawet uczyniło satysfakcję. Na gawędzie zeszedł czas do obiadu, wreszcie było już dobrze z południa, gdy ta nowego rodzaju improwizowana placówka, w postaci zasmolonego nieco wyrostka dała znak, krzyknął on z wysokości, że widzi tuman kurzawy od strony Słucka ku Hrozówce się zbliżający. Gospodarz, goście i domownicy wybiegli za stodołę, w czystem polu istotnie widać było posuwające się kolumny połyskujące bronią. Podróżni więc nasi powrócili szybko do domu, pożegnali się z gospodarstwem, wreszcie wyszli do sadu i skierowali się ku koniom, które na nich w gaju czekały. Zaledwie wszelako na kulbakach się znaleźli, gdy szpica jadąca przed oddziałem już ich spostrzegła, trzech jeźdźców pędem puściło się do brzeziny, słychać było parę wystrzałów, lecz wkrótce

powracali już wolno, nic widać nie wskórawszy. Zdaleka jednak spostrzeżono, że cały oddział wojska wstrzymał się był i sformował.

W Hrozówce panował strach nie mały; stary Lutomski siedział wprawdzie na ganku z miną dość spokojną, ale kobiety same nie wiedziały gdzie się podzieć i co z sobą robić mają. Kundzia w najżywszej była niespokojności „o tych nieszczęśliwych konfederatów“, mówiąc wszelako o nich zawsze w liczbie mnogiej, myślała podobno tylko o pojedynczej. Stara zaś poczciwa ekonomowa, expensując całą litanię do Wszystkich Świętych i Najświętszej Panny, na rozmaite wykrzykniki, turbowała się i lękała wszystkiego, ale najbardziej drżała na myśl o pakach ze złotą kolasą, których przywykła już strzedz jak oka w głowie. Na wieść też o zbliżającem się wojsku, wkwaterowała się do alkierza heroicznie, zaklinając na wszelkie świętości, że krokiem ztamtąd nie ruszy.

Niebawem rozległ się tentent, gwar i szczęk broni na dziedzińcu folwarku; przed ganek podjechał oficer, chudy, słuszny, czarniawy, z okiem bystrem ale małem i głęboko zapadłem, — był to Vitinghof — który widząc, że w Byszewskiego pułku zostając, w czasie wojennym nie

wiele skorzysta, przeniósł się pod komendę Branickiego. Baron podjechawszy pod ganek zsiadł z konia z miną nachmurzoną i nie wróżącą gościa miłego.

— Co to jest? Wasan chowasz Konfederaty? rzekł, podchodząc do Lutomskiego.

— Nie chowam, bo ich tu niema, odrzekł spokojnie gospodarz, a rachując, że udobrucha oficera dobrem przyjęciem i od szkód w folwarku się uchroni, poprosił do środka.

Vitinghof wszedł śmiało i zamaszyście w chwili gdy z polecenia ojca, Panna Kunegunda ustawiała właśnie wódkę i zakąski na stole, lecz gdy się drzwi od Izby otworzyły, uciekła; oficer rzucił na nią okiem, choć twarzy dostrzedz nie mógł, zastanowił się jednak na moment — z drugiej wszelako strony widok flaszki na stole, zwrócił jego uwagę, rozmarszczyło się czoło Niemca i nie czekając bynajmniej zaproszenia, wnet sobie nalał kieliszek. Ale, do ust już ów kieliszek niosąc, Vitinghof stanął wlepiwszy wzrok we drzwi, po za któremi spostrzegł przechodzącą Kundzię.

— *Donnerwetter*, mruknął pocierając czoło, *was ist das?* lecz przypomniawszy sobie co trzyma w ręku, duszkiem kielich wychylił.

Lutomski widząc te manewra, zmarszczył się nic nie mówiąc, Kundzia już się nie pokazywała. Niebawem gdy do izby weszło jeszcze kilku oficerów niższych, na dziedzińcu co raz już większy gwar się wzmagać począł; wkrótce wbiegło do pokoju kilku żołnierzy — a byli już nieco podchmieleni jak widać.

— Proszę Pana Porucznika, rzekł jeden obcierając wąsy, melduję że tu są Konfede raci, baby ich chowają, może Pan Porucznik pozwoli zrobić rewizję?

— Trzeba koniecznie, zawołali oficerowie znajdujący się w pokoju; we wszystkich Radziwiłłowskich folwarkach, to same jaskinie buntowników, jak nie Konfederatów to broń chowają.

— Trzeba szukać, krzyczał jeden, wszędzie, w budynkach, na folwarku — wszędzie.

Vitinghof tymczasem lubo dowódzca całego oddziału, mało zważając na te wykrzykniki, mruknął coś pod nosem — jadł dalej, jeszcze lepiej popijał wódkę, a już podchmieliwszy jakby się z tem spieszył, według swego zwyczaju, rozwalił się wreszcie na sofie, krzyknął żeby kozaczki grali i śpiewali. Chałastra zaś cała, nie tracąc czasu, rozbiegła się cale niesfor-

nie po zabudowaniach folwarcznych. Napróżno Lutomski, pisarz prowentowy, gumienny i inni domownicy protestowali i wypraszali się — rwano wszystko co się dało i nie dało, rozkwaterowywano się gdzie kto chciał, w stodole i szopach chodzili nawet paląc lulki; trzęśli, rewidowali, wyrywali podłogi. Nawalnica ta rosnąc w potęgę z chwilą każdą, doszła wreszcie do tego, że we dworku samym chciano jakoby szukać broni i gadano o odrywaniu podłóg, jedynie dla obłowu, kradzieży i złapania co się uda.

Na tę wieść stara ekonomowa oniemiała prawie z przestrachu, a Kundzia widząc na co się zanosi, przerażona i sama, i trwogą matki, żywa, bystra, a energiczna dziewczyna, determinując się w mgnieniu oka, w obecności ojca, który szedł właśnie ze skargą do spiewającego i taczającego się na boki, a podpiłego już Vitinghofa, podbiegając śmiało zawołała:

— Panie oficerze! niechże pan się zlituje, czyż to się godzi, cóżeśmy zrobili, żeby nam takie wyrządzać przykrości!

Na dźwięczny głos dziewczyny, Vitinghof podniósł osowiałe już nieco oczy, wlepił w nią

wzrok błędny na chwilę, i nagle — zrywając się na równe nogi zawołał:

— Liza!!

A po chwili jakby opamiętania, rzekł żywo prawie otrzeźwiony, zwracając się do Lutomskiego:

— Kto to jest?

— Moja córka, odparł chmurno gospodarz, właśnie prosiła Pana i ja prośbę tę powtarzam, żebyś Pan jako dowodzący był tak łaskaw i ochronił nas od tysiącznych przykrości, jakie tu nam pańska komenda robi — chcą odrywać podłogi, trzęsą, rabują.

— Was ist das?! krzyknął porucznik na burmistrzującą chałastrę, i wyskoczywszy na środek izby z dobytą szablą, jął nią niemiłosiernie płazować swoich żołdaków.

— Weg! krzyknął — Pack fort!

— W mgnieniu oka, cicho jak mak siał zrobiło się we dworku, a Porucznik padłszy znużony, a blady, jakby go kto z grobu wyjął na sofę, i twarz w obie ręce ukrywając, ęknął z cicha:

— Ach! wie bin ich so unglücklich!

I całkiem już wytrzeźwiony zwrócił się znowu do starego Lutomskiego.

— To jest Pańska córka, co tu była?

— Tak jest, odparł zapytany, a chcąc rozmowę w inną zwrócić stronę rzekł. Bardzo panu dziękuję za jego opiekę; i podał mu rękę.

Vitinghof zmieniony do nie poznania, silnie i jakby konwulsyjnie uścisnął dłoń starego ekonoma, a wstając i kierując się ku drzwiom. —

— Niech Pan będzie spokojny, rzekł, tu szkody żadnej nie będzie. I wyszedł.

Lutomski zdziwiony mocno, zwrócił się, aby uspokoić kobiety. Cieszył się on z tej, jakoby magicznej zmiany i spokoju, jaki mu Porucznik zapewnił, lecz z drugiej jednak strony odgadł wybornie, że to był winien nieopatrznemu może wdaniu się córki, pod której urokiem stała się ta metamorfozis. Lub — być może pod wrażeniem podobieństwa dziewczyny do jakiegoś, na dnie serca nieszczęśliwego błędnego rycerza ukrytego obrazu, który on dla zapomnienia zalewał i topił trunkiem; albo — któż wie, w marzeniach półsennych, odurzając się tym trunkiem i harmonją podniecając, może właśnie obraz ów w wyobraźni wywoływać i odtwarzać usiłował. Dość że wkrótce ucichło nietylko we dworku, ale nawet na całym folwarku. Podwładni wiedzieli dobrze, że z Niem-

cem, jak go nazywali, żartów nie było, bo nauka Chorążego Radziwiłła w las nie poszła.

Niebawem porucznik powrócił. Wszedł do Izby bez hałasu i szerokiemi krokami zaczął się przechadzać; w izbie nie było nikogo, wieczór nadszedł już był i zciemniało, podano światło, przyniesiono mu wieczerzę. Vitinghof chodził ciągle, późno w noc słychać było nieustanne a miarowe jego kroki, wreszcie ucichło wszystko.

Nazajutrz do dnia cała komenda stanęła cicho, spokojnie, a nawet porządnie na dziedzińcu folwarcznym. Porucznik milczący wyszedł przed ganek, przeprowadzony przez Lutomskiego i dłoń mu podał na pożegnanie.

— Żegnam Pana, za nieporządek przepraszam; póki ja w tych stronach będę, — rzekł, możesz Pan być spokojnym, a spodziewam się, dodał jeszcze, że Pan pozwolisz mi siebie kiedy odwiedzić.

To mówiąc wsiadł na konia i cały oddział wyruszył za bramę.

Lutomski stał jeszcze i zadumał się mocno; obietnica odwiedzin niemało mu utkwiła w głowie, domyślił się łatwo, co ją spowodowało i wcale się tem nie ucieszył. Podumawszy

chwilę, nacisnął wreszcie na głowę kapelusz, ruszył ramionami i skierował się ku gospodarskim zabudowaniom, dla obejrzenia szkód, jakie poczyniono. Zaszedł więc najprzód do stodoły, gdyż miał tam jeszcze pół słupa niemłóconego zeszłorocznego żyta. Pobyt i nocleg nieproszonych gości, dawał się już na pierwszy rzut oka spostrzegać; mimo że ukradziono czy spasiono kop kilkanaście końmi, bo owsa na przednowku było w tym roku nie wiele, prócz tego snopki porozciągane po całym toku w stodole, świadczyły widocznie, że na nich spano. Lutomski chcąc dokładnie sprawdzić szkodę, nie bez trudu wdrapał się na wierzch ułożonego w słupie żyta, co zresztą nie zbyt było wysoko; chciał się bowiem przekonać, jak wiele wyciągnięto mu ze środka. Znalazłszy się tam, ledwie postąpił kroków parę, stanął osłupiały — a po chwili wyrwał mu się okrzyk:

— Chryste Panie! a to, przyznam Panu, łajdaki! Bóg tylko czuwał nad nami!

To mówiąc, schylił się dla zebrania ze snopków jakichś przedmiotów, podniósł je do góry — były to karty i zgaszona łojowa świeczka.

Jakim sposobem snop słomy wśród tysiąca

innych, co go otaczają, może być użyty miasto lichtarza, bez spalenia i niebezpieczeństwa pożaru? — Pytanie to, chyba ci sami, pijani *notabene* żołnierze, lub wyćwiczony w tradycyjnych tajemnicach ognia cygan, mógłby rozwiązać. Lutomski, nie mogąc ze wzruszenia ochłonąć, cały wzburzony, trzymając w ręku *corpus delicti*, żywo zwrócił się do domu. Zaraz w pierwszej Izbie spotkał się z żoną, a pokazując jej świecę i karty, zawołał:

— Patrz! oto co znalazłem — w stodole.

— Gdzie, gdzie? pokaż — spytała żona?

— W stodole, na snopkach—na wierzchu!!

— Matko Najświętsza! krzyknęła swoim zwyczajem załamując ręce kobieta; a to herctyki! cud — cud że nas nie spalili.

— Cud — taże cud, a łaska Boska i opieka Jego osobliwsza — to pewno.

— Da coby to jeszcze było, mówiła kładąc rękę pod brodę i kiwając głową ekonomowa, żeby dowódca nie był słyszę tej hałastry nastraszył, niech ręka Boska broni! To jakiś p o d s c i w y człowiek.

— Ta — zapewne, mruknął machnąwszy ręką Lutomski. — Nie wielka to pociecha, a może to i gorzej jeszcze!

— Jakto gorzej? da porzućże, co ty Marcinku gadasz.

— Oj! tak tak! bo ty nie wiesz dla czego on zrobił.

— No, dla czego?

— Hm, zrobił nie dla czego, tylko dla tego, że mu Kundzia w oko wpadła; to skaranię Boskie! i jeszcze Niemczysko obiecuje że przyjedzie.

— Da co ty mówisz Marcinku?! czyż to prawda? zawołała zaciekawiona ekonomowa.

— A niezawodnie, Mosanie, tak jest, odparł z nieukontentowaniem mąż.

— A jakże on się nazywa, — mój drogieńki?

-- Kat go tam wie — podobno jakiś Titinków baron.

— B a r a n, — duszeczko!! aj, aj, aj! czy to może być, bodajże jego. Da prawda, jest u nas Pan Kozioł i Pan Szczuka i Pan Żaba, Podkomorzy — ale Barana!? no! jeszcze jak życie moje nie słyszałam.

— At pleciesz, sama nie wiesz co, nie Baran ale Titinkow — a baron, to znaczy niby taki gatunek niemieckiego grafa.

— Jezus Marja! graf? a to, a jakby się zechciał z naszą Kundzią ożenić — to by dopiero było...

— Masz tobie! rzekł Lutomski — jakiś wołokita, a choćby i graf, albo jemu tam w głowie ożenienie — ot — heretyk!

— No, no, mruczała pod nosem, odchodząc już żona. Graf! pewno jakiś bogacz — ot żeby tak... no!?

Dalsze marzenia poczciwej ekonomowej łatwo odgadnąć się dają.

W dni kilka po wypadkach wyżej opisanych, przed gankiem Hrozowieckiego dworku zjawił się Vitinghof sam, z jednym tylko luzakiem — czem dał dowód niemałej odwagi, bo gdyby się był w ręce konfederatów dostał, zapewne by mu wygodnie nie było. Lutomski powitał go grzecznie, lecz zimno, Kundzia kryła się po kątach, ekonomowa zaś lubo nieco wystraszona i niespokojna, uśmiechała się jakoś dwuznacznie, mocno była ożywioną, a dla gościa uprzejmą niezmiernie, co nawet małomównego męża niecierpliwiło trochę. Vitinghof również nie wiele więcej mówiącym był od gospodarza, wizyta więc zimno-ceremonialna trwała niezbyt długo, Porucznik odjechał wieczorem.

Odwiedziny podobne, raz lub dwa razy na tydzień, zawsze równie chłodne, a poufałości i konfidencji wzajemnej gościa i gospodarstwa ani na krok naprzód nie posuwające — powtarzały się ciągle. Vitinghof, lubo w ogóle małomowny, opowiadał wszelako o znakomitych swej rodziny stosunkach i kolligacjach, o majątku jaki posiadał w Inflantach — słowem wątpliwości już nie ulegało że o pannę formalne prowadził konkury, dając o swej osobie wszelkie objaśnienia. Lutomski milczał, ale widocznie nie był zadowolony, żona za to lubo zpoważniała znacznie względem gościa — znalazłszy się wszelako sama — lub z córką, nie posiadała się z radości, wciąż po cichu powtarzając sobie: Graf!!

A widząc że Kundzia od konkurenta ucieka jak od ognia, usiłowała ją wszelkiemi sposobami nawrócić; że się to jej jednak wcale nie udawało, niecierpliwiła się bardzo.

— Da co bo Tobie jest Kundziu? mówiła matka, zawsze uciekasz — to nie ładnie, trzeba trochę gościa bawić, taki słuszny kawaler! graf słyszę, to by dla ciebie był los.

— Niech Pan Bóg broni, wołała dziewczyna, Niemiec jakiś, aż mię strach bierze, dajcie mamunciu pokój — ot, przyjechał to i pojedzie.

— Co ty gadasz, pojedzie, toż raz w raz przyjeżdża — bogacz taki! magnat, graf słyszę! cóż? Da czyż tobie lepiej wyjść za jakiego pisarza albo chudopachołka, czy co? da porzućże, da-dajże pokój te sceny robić?

— Zmiłujcie się, zmiłujcie się, matuniu, całując ręce, prawie ze łzami, lamentowała córka, zawiózłby mnie na kraj świata, — a taki straszny, ach! niech Pan Bóg broni!

Gdy tak w Hrozówce ważą się losy panny Kunegundy, a Vitinghof podawszy się za chorego opuścił odchodzącą komendę i osiadł w Słucku, raz w raz nawiedzając państwa Lutomskich, konfederaci nasi tymczasem zabawiwszy dni kilka w Niehorełej u Borowskiego, szczęśliwie przedostali się do obozu. Tu Szyc niebawem forsownym marszem ruszył, dla połączenia małego swego oddziału z Kaźmierzem Pułaskim.

Konfederacja dochodziła punktu kulminacyjnego. Wszyscy prawie marszałkowie wojewódzcy zebrawszy się to w Glinianach to w Białej na granicy Szląskiej, utworzyli tak zwaną Generalność, dając jej Cieszyn za główną stolicę, a powołując na generalnego marszałka koronnego, Krasińskiego, na regimenta-

rza zaś Potockiego — marszałkiem litewskim mianowany został Pan starosta Ziołowski.

Paszkowski lubo w ciągłej pracy i wojennym gwarze, usychał jednak z tęsknoty, że był tak oddalonym od stron, do których go z całą siłą młodzieńczego uczucia, pociągało serce. To też gdy Pułaski wysyłał Szymona Kossakowskiego do Litwy, przeszedł wraz z Borejszą do jego oddziału. Kossakowski przedarł się szczęśliwie, dotarł nawet do Kurlandji, wszędzie konfederacki ruch rozszerzając. Na wypadkach, któreśmy tu pobieżnie streścili, upłynęło więcej prawie jak pół roku, działo się to już bowiem wiosną 1770 roku, kiedy Generalność ogłosiła manifest detronizacji Stanisława Augusta, który wszelako w jesieni dopiero królowi na zamku przez nieustraszonego Strawińskiego doręczonym został.

Koniuszyc, dostawszy się na Litwę, miał sposobność niejednokrotnie odwiedzić Hrozówkę. Zawsze on był mile przez starego Lutomskiego i pannę przyjmowany, jedna tylko matka przeczuwając w nim konkurenta, który Vitinghofowi psuł interesa, lubo nic nie mówiła, jakoś niezbyt mu była rada. Zresztą odwiedziny te zawsze były krótkie. w przechodach, i Pasz-

kowski ze swemi myślami ani projektami odzywać się nawet nie mógł, bacząc na okoliczności i wypadki wojenne. Stała się przy tem rzecz jedna, która go wielce zmartwiła. Nic on o Vitinghofie nie wiedział, lecz będąc raz u starego Koniuszego Brzeskiego, ojca swego, chcąc we względzie swych przyszłych projektów o zdaniu jego nieco się objaśnić, wspomniał, iż gdy da Bóg w kraju się uspokoić, chciałby się żenić, upodobawszy sobie mocno IMPannę Lutomską. Nad spodziewanie stary Koniuszy obruszył się na ten projekt niesłychanie.

— A cóż to? zawołał, Waszmość myślisz o ożenku, kiedy Rzeczpospolita w ogniu?

— Ale ja, rzekł syn pokornie, nie myślę o ożenieniu teraz — lecz później....

— Później, przeciągle odparł stary, jutro nie Waścine. A prócz tego, chociaż ja tam ubogi sam jestem i Waści fortuny nie dam, alem ci dał imię, a przed sobą masz expektatywę faworów Księcia Wojewody, i możesz przecie, jeżeli się dobrze pokierować zechcesz, wyżej sięgnąć, aniżeli do jakiejś tam ekonomskiej dziewki. Hm, Lutomski! to jakiś a d v e n a. — Niezapominaj Waszeć, że się nazywasz Lanckoroński Zadora z Brzezia Paszkowski, że nasz dom

zkoligowany z najznaczniejszemi familjami w Koronie i Litwie, i że dla tego imienia żadne progi za wysokie nie są, jeśli je z uczciwością szlachecką nosić będziesz.

Po tak kategorycznej i energicznej monicie, jaką nasz młodzian najprzykładniej i cierpliwie wysłuchał i gdy znając ojca, wiedział, że z nim w dysertacje wdawać się nie można — zamilkł. Znał on bowiem z drugiej strony serce ojcowskie dla siebie i miał przy tem nadzieję, że gdy pierwszy impet przeminie, a czas z tą myślą starego oswoi, da się on może powoli nakłonić — ile że w obecnej chwili nic nagłego nie było.

W krótkim czasie po owej z ojcem rozprawie, był młody Paszkowski znowu przejazdem w Hrozówce. Matka panny przyjęła go jak poprzednio od czasów bywania Vitinghofa nieco kwaśno i niechętnie, co widząc Koniuszyc, znalazłszy się na chwilę sam na sam z Kundzią rzekł smutno:

— Niewiem prawdziwie, dla czego mama Pani tak na mnie nie łaskawa.

— Czyż Pan to dopiero teraz zauważał? spytała powoli, skubiąc listek jakiś, panienka.

— Owszem nie od dziś, i prawdziwie nie

pojmuję, co przewiniłem, pierwej była dla mnie tak uprzejmą.

— Mnie się zdaje, że Pan łatwo domyśleć się możesz.

— Czego? nic nie wiem.

— Jakto? przecież...

— Co? zmiłuj się pani.

— To niezawodnie, rzekła panienka wahając się nieco i rumieniąc, niezawodnie z przyczyny tego oficera.

— Jakiego oficera? żywo przerwał Koniuszyc.

— Tego Niemca okropnego, co tu jeździ tak często.

— Jakiego Niemca, najdroższa Panno Kunegundo, zawołał Paszkowski zrywając się i serdecznie całując niebronioną wcale rączkę, mów Pani — jakiego Niemca, czy się o Panią stara?

— Ach! tak — podobno, półgłosem odrzekła Kundzia i umilkła — a dwie łzy, bujne i przeźroczyste potoczyły się po świeżej twarzyczce.

— Najdroższa Panno Kunegundo, mówił Paszkowski, niepuszczając ukochanej rączki! ach! te łezki — dziękuję — ja ich pamięć do

grobu poniosę. Ale ten Niemiec — ten łotr — oficer, jak się on nazywa? Kto to?

— Ja myślałam, że Pan wiesz o tem, rzekła Kundzia, podnosząc po chwili ubrylantowane na rzęsach a płowiące się jeszcze w ostatkach owych łez, duże swe szafirowe oczy. Nazywa się ten Niemiec — Baron Vitinghof.

— Vitinghof — zdziwiony powtórzył Koniuszyc — tutaj? a... to się zobaczymy.

— Ach Panie Karolu! chwytając go za rękę zawołała Kundzia — zlituj się Pan, tylko nic...

W tej chwili, u progu już dał się słyszeć ciężki chód i tuptanie pani Lutomskiej, młodzi odsunęli się od siebie — rozmowa została przerwaną.

Na samą myśl o tej niespodzianej nowinie, Koniuszycowi krew uderzała już do głowy; postanowił on sobie bądź co bądź tę przynajmniej przeszkodę usunąć, a to tem bardziej, że mu stawał na drodze ów właśnie Vitinghof — Krzyżak, jak go nazywał, z którym jeszcze dawniejsze miał do załatwienia rachunki. Dobrze przeto rzecz rozważywszy, postanowił działać — lecz nie zdradzać się z projektami swemi przed nikim w Hrozówce, rachując głównie na pomoc kolegów.

Niebawem więc pożegnawszy się z Lutomskiemi z gorączkowym pospiechem ruszył do obozu.

Oddział Kossakowskiego znajdujący się w małem miasteczku o półtorej mili ztamtąd, lada dzień mógł w dalsze wyruszyć okolice, nie było więc czasu do stracenia. W tysiącznych projektach zatopiony Paszkowski, zmachawszy konia niepospolicie, znalazł się wkrótce na swej żołnierskiej kwaterze, którą wraz z Borejszą zajmował. Nie rozstawali się oni z sobą od czasu wyjścia z Białej; Porucznik bowiem Borejsza był jedynym kamratem, do wypitej i wybitej, a do tej ostatniej, zwłaszcza za przyjaciela swego Koniuszyca, do którego lubo znacznie starszy przywiązał się dusznie — namawiać go długo nie było potrzeba. Rachował też na niego Paszkowski, na pewno wiedząc, że się nie zawiedzie. Ale poczciwy Poruczniczysko, tęgi do kielicha i korda, do rady był ladajaki i sam to znał dobrze do siebie; zresztą, humor miał złoty i serce nieocenione, niczem się długo frasować nie umiał, jadł za czterech — spał, byle miał burkę i kulbakę pod głową bodaj i dobę całą, i wyglądał też jak żubr, siły niepospolitej i herkulesowej postawy.

Wieczór już był, gdy Paszkowski przyjechał, zastał też Porucznika nad misą krupniku, a gąsiorek wina wcale pokaźny, nietknięty jeszcze czekał swojej kolei.

— O! — zawołał Boreysza, podnosząc głowę i obcierając strzępiaste wąsy, gdy spostrzegł Koniuszyca; niespodziewałem się Waszmości tak wcześnie — siadajże. Krupnik, powiadam Ci, delicje! — ale co... Abramka jakem przycisnął, dał mi takiego maślacza, co powiadam Ci, choć dla Wojewody! No, ale cóż ci jest? — ciągnął, widząc, że Paszkowski rzuciwszy konfederatkę i zciągając grube rękawice, sapał tylko, ale nic się nie odzywał.

— Cóż to? no gadaj, już widzę, że Ci coś pod żebrem siedzi.

— Oj! siedzi — odparł żywo Koniuszyc, rzucając wreszcie rękawice na stół, właśnie pospieszałem, bo musimy obmyśleć jakąś radę.

— Radę? — przeciągle ozwał się Boreysza, to bratku, powiadam Ci, wiesz dobrze, że się z tem do mnie nie ma co udawać, cha! cha! zaśmiał się, już to u mnie najlepsza rada — w augustówce.

— Właśnie też mnie pono świecy nie będzie potrzeba.

— Tak?! a, no, w to mi graj, o cóż chodzi? ale czekaj no, pierwej siadaj i jedz, potem kategorycznie przystąpimy do tego maślacza, a, powiadam Ci, maże się bestja po lampeczce jak oliwa — o! A potem będziemy rzeczy rozbierać, kunktować i deliberować.

— Dziękuję, jeść nie będę, słuchaj-no Poruczniku...

— Ale czekaj, czekaj, nie chcę słuchać, bo na głodno i na sucho, to się psu na budę nie zdało — jedz, powiadam Ci, a jak nie chcesz, to, ot napijmy się pierwej, przy lampce dopiero przychodzi *ingenium*.

Usiedli więc, Boreysza lampki ponalewał, nadpił swojej, popatrzył pod światło, postawił ostrożnie na stole — i wąsy na obie strony oblizał.

— No, więc cóż to jest? — zapytał.

— Jest to — gorączkowo począł Paszkowski — że mi do mojej panny dojeżdża konkurent...

— A co? ot masz! bo to, powiadam Ci, te kobiety, to niech ich...

— Ale poczekaj.

— No, no, czekam — rzekł Boreysza i pociągnął z lampki.

— Panna go znać nie chce...

— Patrzaj?! no to dobrze, bardzo dobrze.

— Dobrze, ale matka za nim ciągnie; mnie przez to wcale niechętnie przyjmuje.

— A! to źle — bardzo źle — bo to powiadam Ci z temi kobietami to...

— Czekajże!

— Czekam, czekam.

— Otóż trzeba mi się tego konkurenta pozbyć.

— Oj! oj! wielka sztuka!

— Bo trzeba żebyś wiedział — i to traf szczególny! Zgadnij kto on jest?

— A djabli go wiedzą! już to moje serce wiesz dobrze, do zagadek, to ja, nie mam jakoś talentu — no, któż to tam?

— Vitinghof, imajnuj sobie.

— Jaki Vitinghof, ja żadnego nie znam.

— A! ten, com Ci opowiadał, z Byszewskiego pułku, co mnie w nogę postrzelił, kiedym jechał do Boćków.

— Ten — Niemiec?! a dawaj-że go, serce dawaj!

— Ba, właśnie chodzi o to, żebyśmy go w łapy dostali. Mieszka w Słucku, w służbie już

nie jest, to wiem, jeździ do Hrozówki co kilka dni. Trzeba coś obmyśleć.

— Co tu myśleć, powiadam Ci, pojechać, wyzwać na rękę, i kwita.

— Do Słucka od komendy oddalać się nie możemy.

— Hm, to prawda, no, w Hrozówce go przydybać, albo gdzie blizko dworu.

— Otóż to jest, gdyby nam wiedzieć kiedy on tam będzie; ja myślę, najlepiej kogo postawić na straży koło tej karczemki, jakże się ona nazywa, nowa, na rozdrożu.

— Pohulanka? spytał Borejsza.

— Ale — Pohulanka. Niechby tam kto stał, dopatrzył jak będzie jechał i dał nam znać, mybyśmy też nadjechali do Hrozówki, a potem, wyjechawszy z gościny razem, jużby się reszta złożyła.

— A co! zawołał Borejsza; ty mnie o radę pytasz — mnieby to i do głowy nie przyszło, ale doskonale, tylko kogo postawić.

— Otóż to sęk, radź ty, ja nie wiem kogo.

— Hm, mruknął Borejsza, chyba ja sam.

— At, głupstwo, ty przecież ze mną do Hrozówki pojedziesz.

— Hm, prawda, ale wiesz co, no powiadam Ci, niech jedzie mój Ihnat luzak, sprytny chłop, przebierze się za włościanina, nikt go nie pozna — konia postawi w karczmie.

— A sam się upije jak sztok.

— Ale nie, jak Cię kocham nie — jabym mu wały sprawił — będzie się bał.

— Niech będzie i tak, rzekł Paszkowski, ot widzisz, ogadujesz się, że nie umiesz radzić, a to rada przecie jest.

— At, to tak przypadkiem. No to i dobrze, teraz pij, jutro rano Ihnat pojedzie na stanowisko, a może właśnie na ten dzień trafi.

— I niezawodnie, odparł Paszkowski, bo już dni kilka jak Niemiec nie był u Lutomskich.

— Tandem, dobra nasza! zawołał Borejsza; cha! cha! poradziliśmy — bo to, powiadam Ci, *vexatio dabit intellectum*, obetniemy Niemca jak się patrzy, co i za ruski miesiąc się nie wyliże, tylko mnie pozwól z nim się pobawić, już ja mu dogodzę.

— O! to nie, ty mi będziesz sekundował, to moja przecie sprawa.

— No, masz tu Waszmość, prawda *vocem decisivam*, ale bo, powiadam Ci, ja mam taki apetyt z samej twojej relacji do tego Niemca, co

aż mi ręka świerzbi; wszystkie bo te pludry Niemcy to tałałajstwo — ot jeden tylko, prawda, nasz kochany Szyc, to dzielny człek, nie ma co mówić, chociaż Niemiec, ale to szczególniejsza excepcja.

— Ale jaki Niemiec, przerwał Paszkowski, Szyc, toż Węgier przecie.

— Ba! albo to Węgier nie Niemiec?

— A jużci nie, Węgier to Węgier.

— At! gadaj Aspan zdrów — albo to ja nie wiem? Przecież to jedna nacja! Po polsku tak gada, że boki zrywać, a Aspan mówisz, że nie Niemiec.

Gdy ten ostatni argument domawiał Porucznik, zaczęli się schodzić koledzy. Rozmowa przeto się urwała, dla zachowania sekretu.

Nazajutrz rano wyprawiono Ihnata, Borejsza z Koniuszycem mając konie pokulbaczone, oczekiwali niecierpliwie, jakoż oczekiwanie to trwało istotnie nie długo, koło południa bowiem nadbiegł wysłany z wiadomością, że widział Vitinghofa jadącego do Hrozówki.

Dodać musimy że i Baron chociaż już niby w służbie nie będący, wiedząc o kręcących się konfederackich oddziałach, lubo cicho w Słucku siedział, nie rad był się z niemi spotkać. Sza-

lona namiętność pędziła go co dni kilka do Hrozówki, za każdym razem postanawiał sobie oświadczyć się i raz zakończyć ten stan niepewny, który go dręczył i palił niemiłosiernie. A nuż odmowną odbiorę odpowiedź, myślał sobie — co i miarkował nieco po obejściu się panny — nie będę jej nawet mógł widzieć, a życia choćby tylko bez jej widoku nie pojmował nawet. Wolał więc dręczyć się, wolał żyć w marzeniu i męczarniach — wolał złudzenie. I tak od dnia do dnia, rok niemal upłynął, a ile razy przybył do Hrozówki, patrzał tylko, nasycał się bodaj jednem jej wejrzeniem, a słowa w ustach mu zamierały. Wróciwszy, rzucał się na posłanie i godzinami leżał, wywołując w wyobraźni obraz, który przed chwilą widział. I dziwna rzecz! widział ją przed kilku godzinami, a wyobraźnia odmawiała mu posługi. Czasem, na chwilkę, zmrużywszy oczy przemknęła mu się mglista postać dziewczyny, i — szybko jak błyskawica znikało cudne widzenie. Vitinghof pić przestał, zrobił się jeszcze chudszym jak był przedtem, zeschł jak deska, oczy mu tylko od czasu do czasu niezwykłym ogniem pałały.

Wybrał się on jak zwykle do Hrozówki

sam jeden; stary przyjął go milczącem powitaniem, gospodyni zajęła się przyjęciem gościa, panna zaś jak zwykle skryła się gdzieś w kącik do czasu, aż przywołana przez matkę, lub do stołu wyjść będzie zmuszona. Rozmowa dziś się jeszcze gorzej niż zwykle nie kleiła, gdy gospodarz wyjrzawszy oknem żywo, rzekł zwracając się do gościa.

— Wybacz Waszmość, ale oto widzę Pan Bóg dał gości, którzy właśnie nadjeżdżają, muszę wyjść ich powitać.

Trzeba bowiem wiedzieć, że w owych czasach nawet u samego Wojewody Wileńskiego, jako i u każdego największego bodaj magnata i senatora, nie anonsowano i nie obwoływano gościa przez kamerdynera, jak to zwykli czynić owi Niemcy i sztukmistrzowie, co lwy, małpy, tygrysy i inne zamorskie bestje ciekawej gawiedzi za trzy grosze ukazują; ale obyczajem dawnym gospodarz czy to szlachcic najmniejszy, czyli dygnitarz rzeczypospolitej, na powitanie gościa swego wychodził przed ganek sam osobiście, zaniedbanie czego za despekt by względem przybywającego poczytanem było. Chociaż, prawdę rzekłszy, może to ten nowy obyczaj nie jest i bez pewnej racji — tyle się bowiem

teraz nagęściło ludzi różnego kalibru i proweniencji, że mimo wszelkiej gościnności, naprzeciw wielu przybyszów wychodzić wcale nie warto, a nie jednemu intruzowi szlachcic z własnego domu dałby chętnie *consilium abeundi.*

Wyszedł więc Lutomski, a Baron zbliżywszy się do okna, stanął jak wryty; Borejszy nie znał, ale Koniuszyc dobrze w jego pamięci siedział, serce mu drgnęło, jakby przeczuciem; umoderowawszy jednak chwilowe wzruszenie, spokojnie przechadzać się zaczął.

Paszkowski wiedział kogo ma powitać, wszedł więc do izby śmiało z podniesionem czołem i ironicznym nieco uśmiechem. Ukłonili się sobie, a gospodarz niedomyślając się niczego, prezentował ich wzajemnie. Paszkowski jak na żarzących węglach czekał sposobnej chwili, aby się zetknąć z Baronem w nieobecności gospodarstwa; nie chciał bowiem w domu Lutomskich robić zaczepki. Tymczasem Kundzia w mgnieniu oka zrozumiawszy położenie rzeczy, nie mogąc nic poradzić, przerażona, sama nie widząc ratunku, upadła gdzieś w kąciku na kolana i rzewnie a cicho płacząc, modlić się zaczęła.

W pierwszej izbie rozmowa toczyła się ogólna, obojętna na pozór, a nawet przez nowych gości widocznie na wesoły tor naciągana. W momencie jednak, gdy gospodyni wyszła, a i stary Lutomski oddalił się dla jakiejś dyspozycji z pokoju, Paszkowski posunął się ku Vitinghofowi, Baron wszelako nie dając mu ust otworzyć, postąpił równie szybko, mówiąc:

— Kiedy ostatni raz widzieliśmy się z panem, byłem przymuszony zejść z pola. Pan byłeś uzbrojony, a ja bezbronny...

— Tak, przerwał uśmiechając się pan Karol, uciekłeś pan, ale strzelałeś do mnie jak do sarny — wcale nie po szlachecku.

— Właśnie, rzekł Vitinghof, chciałem się spotkać z panem, żeby mu dać satysfakcję, lubo tam ja robiłem tylko moją wojskową powinność.

— Nie wiem, przerwał drwiąco Koniuszyc, czy uciekać jest powinnością oficera, albo napadać po drogach...

— Niemamy co dyskutować, rzekł kwaśno Baron, pożegnamy wkrótce gospodarza i rozprawić się możemy; jest tu na to bardzo dobre miejsce za ogrodem, w brzezinie.

— Będę służył, odparł Paszkowski, ale Waszmość nie masz sekundanta.

— Nie potrzebuję, ozwał się wzgardliwie machnąwszy ręką Vitinghof, nie pierwszy to pojedynek bez sekundantów odbywam.

Prawie na koniec tej rozmowy nadeszła gospodyni, a za nią wkrótce Lutomski, gdy zaś wieczorne podano przekąski, wsunęła się jak cień, blada i milcząca panna Kunegunda. Rozmowa szła kulawo i urywała się ciągle, każdy prawie z obecnych miał coś na sercu, co mu dolegało, bezustannie myśl odrywając, a mówić o tem nie mógł. Goście więc wkrótce bardzo, razem pożegnali gospodarstwa i razem też wyjechali.

Znalazłszy się za bramą, kierunek wzięli na prawo, ku brzezinie — tu pozsiadali z koni. Paszkowski powiedział słów kilka półgłosem do Borejszy, który zbliżając się do Barona rzekł:

— Zdaje mi się, że co do broni, trzeba wybrać szable, bo strzały z pistoletów mogłyby wzbudzić przestrach na folwarku, lepiejby to odbyć cicho.

— Bardzo dobrze, odparł Vitinghof, i natychmiast zaczął zrzucać kontusz i żupan.

Tożsamo uczynił Paszkowski, dobyli szabel w okamgnieniu złożyli się z sobą. Przy pier-

wszych jednak cięciach, łatwo poznał Borejsza, że przewaga wielkiej wprawy, przy równej prawie sile, zdawała się być po stronie Barona, ile że umiał niezmiernie krew zimną zachować, gdy Koniuszycowi ręka dygotała mimowoli. W miarę przedłużania się zapasów, Paszkowski coraz bardziej się zapalał, a Baron zawsze równie zimną krew zachowywał; bronił się niby, gdy Paszkowski wciąż i coraz gwałtowniej nacierał, — aż wreszcie korzystając ze sposobnej chwili i nierozważnego odsłonienia się przeciwnika, wymierzył mu w głowę samą raz tak potężny, że Koniuszyc, zachwiawszy się tylko na nogach, i wypuściwszy z ręki szablę, runął prawie bez duszy na ziemię. Nim Borejsza opatrzył się, ratując upadającego Karola, Vitinghof zchwyciwszy ubranie, skoczył na konia, i znikł w wieczornym mroku.

Koniuszyc leżał bezprzytomny, krew obficie sączyła się z rany. Borejsza czemprędzej obwinąwszy mu tymczasowo głowę, poskoczył do folwarku. Alarm się zrobił ogromny, nadbiegły kobiety, Lutomski, ludzie dworscy — rannego, któren wszelako znaków życia nie dawał, zaniesiono do dworku.

III.

W lat ośm po wyżej opowiedzianych wypadkach, rozeszła się jak mówią poeci stugębna, ba — i tysiącgębna wieść na Litwie, że książę Karol Radziwiłł Wojewoda Wileński powraca do kraju. W istocie, jeszcze w roku 1776 wszyscy Posłowie Litewscy na Sejm do Warszawy udający się, otrzymali w swych laudach instrukcje dopominania się o zezwolenie na powrót ukochanego powszechnie Księcia. I oto czytamy w rękopiśmie współczesnym instrukcji danej: „JWIMPanom: Ignacemu Wygonowskiemu Podkomorzemu i Jackowi Paszkowskiemu Koniuszemu, Posłom z Województwa Brzeskiego Litt. zalecenie w ten sens:

„Uchylony po dwakroć od kraju wielą „przypadkami, klęskami, odjęciem i zniszczeniem „Dóbr i całego majątku skrzywdzony JO. Książę IMC. Karol Radziwiłł Wojewoda Wileński „i w narodzie własnym i w pośród obywatelów „i za granicą wierny swej Ojczyźnie, zawsze Re„ligii, praw i swobód Ojczystych, pilny dozorca „a wielki znakomitych przodków swoich poto-

„mek, znajduje w nas zaniesioną na najpóźniej-„sze czasy wdzięczność, za którym najmocniej „i jak może być najzdatniej między najpierw-„szemi materjami mówić i wdać się mają JWW. „Ichmość PP. Posłowie, ażeby tak do Dobr i „całego majątku jaki posiadał, jako też do kra-„ju z zawarowanem wszelkiem bezpieczeństwem „osoby i honoru, oraz udzieleniem pewnej do-„tąd zamitrężonej sprawiedliwości i nagrodą „wszelkich uszczerbków z jakiegobądź źródła i „przypadku wypłynionych, przywróconym zo-„stał. W czem wiarę, honor i uczciwość JWW. „Ichmość PP. Posłów nieodwołalnie obowią-„zujemy.“

Dalej w drugim rękopiśmie laudum Sejmiku Wołyńskiego, instrukcji Posłów: „Kajetano-„wi Olizarowi Stolnikowi Kor., Szym. Olszań-„skiemu Stolnikowi Wołyńskiemu, Felicjanowi „Jabłońskiemu Obóź. Kor., Kajet. Korzeniow-„skiemu Regentowi, Kajetanowi Księciu Cze-„twertyńskiemu Staroście Woronowskiemu, i „Filipowi Ner. Olizarowi Podkom. Nadworn. „powiedziano:

„Aby JO. Książę IMC. Radziwiłł Wojew. „Wil. do łask Najjaśniejszego Pana i do łona „tej Ojczyzny, w której dom Jego znacznemi

„dziełami swemi wiele względów zasłużył, naj-„prędzej powrócił, i aby summy temuż od Sta-„nów już przyznane wypłacone były, JWW. Po-„słowie usiłować zechcą.“ Które laudum do ksiąg grodzkich zamku Łuckiego wniesione zostało. Toż samo spotykamy w instrukcjach danych na Sejmikach Wojewódzkich wszystkim Posłom Litewskim.

Owóż, w skutek tego dnia 23. października na 44tej sesji sejmu agitującego się w stolicy, kwestja ta wniesioną została, dając wszelako powód do niejakiej agitacji.*)

Najprzód więc sessją ową zagaił IMCPan Marszałek konfederacji koronnej, Andrzej Mokronowski, interpelując Najjaśniejszego Pana i Prześwietne Stany, od czego zacząć zechcą obrady. Zabrał zatem głos IMP. Kasztelan Poznański, przypominając projekt swój co do zawdzięczenia przez stany zasług imieniowi Załuskich — co odesłano zaraz *ad deliberandum.* Poczem w rzeczach wojskowych przemawiał IMCPan Sosnowski, Hetman Polny Litt.; aż owo, książę IMC Biskup Wileński Ignacy Massalski podniósł projekt komissji Książąt

*) Historyczne.

Radziwiłłów z kredytorami, upraszając o przyjęcie go, co do Litwy jako już umówionego na sessji prowincjonalnej.

Z tej okazji IMCPan Hetman Polny Koronny, Seweryn Rzewuski, szwagier Księcia Karola Radziwiłła zabrał głos, wynosząc zasługi Wojewody Wileńskiego, a zapalając się w rzeczy co raz więcej, zapomniawszy prawie że mówi wobec króla, przeciw któremu tak silnie agitował Wojewoda już poprzednio w konfederacji Radomskiej, jako i obecnie w Barskiej, zapędziwszy się ku końcowi mowy, zawołał:

„Przez przeciąg lat tylu odpadły od dóbr „swoich Książę Wojewoda Wileński, żąda dziś „od Rzeczypospolitej wrócenia mu ich, i celem „tego doprasza się u Prześwietnych Stanów o „komissję.

„Mówiąc za nim, mówię za uciśnioną nie-„winnością -- dodał — ani dopraszam się no-„wej łaski, ale sprawiedliwości; lub pierwej „sprawiedliwości niżeli łaski, bo nie idzie o „nadanie mu od Rzeczypospolitej dóbr nowych, „ale o oddanie mu dóbr jego własnych."

Tu Stanisław August, tknięty żywo wyrazami Hetmana, wezwawszy do siebie ministerjum, sam z odpowiedzią pospieszył, i mówił też, jako orator był znakomity, z wielką siłą, ale też i z nietajonem nieukontentowaniem.

„Wiadomo jest w jakie przeciwko dostojeństwu Naszemu wchodził imprezy ten Książę," wspomniał król w swej odpowiedzi, „jakiem staraniem ja sam przeszkadzałem na sejmie przeszłym, ażeby na on czas ostatnich, ten Książę nie poniósł nieszczęśliwości, zostawując mu czas do odwołania tych mnie przeciwnych kroków; nie odwołał ich po dziś dzień, a jednak droga do powrotu nie tylko się przed nim nie zamyka, ale się owszem zostawuje umyślnie otwartą."

„Godzi się to przecie nazwać łaską! a tem bardziej gdyby chciano roztrząsać jakie kroki i okoliczności przyprowadziły Księcia do tego stanu, w którym się znajduje."

„Temu nie winien Książę Radziwiłł, że z jego okazji mówił w sposób dopiero słyszany IMCPan Hetman Polny Koronny."

„A l e p r o j e k t n i e p r z y j d z i e, j a g o s a m z a t r z y m u j ę! dopóki tenże Hetman nie mnie tylko ale i całej Rzeczypospolitej nie uczyni zadosyć; obraził całą Rzeczpospolitę w mowie swojej, wszakeście ją słyszeli Prze-

świetne Stany? Wyście mi nad sobą królować kazali, waszą więc jest urazą, cokolwiek się tej woli waszej sprzeciwia, was obraża, ktokolwiek wątlić ośmiela się dzieło rąk waszych."

Poczem dodał Król:

— Więcej ja nie powiem w tej materji.

I wniósł projekt o skasowanie tortur, który z powszechną zgodą podpisany został.

Gdy zaś Hetman Polny eksplikować się ze swej mowy począł, iż nie czynił jej w myśli urazy; rzekł król:

— Ta uraza wzrusza tron i stany, póty nie może być darowaną, póki WMPan za nią nie przeprosisz!

Niektórzy więc stronnicy królewscy wielce gorliwi jakoby, a w rzeczy dworacy i pochlebcy zawołali, że należałoby zapozwać IMPana Hetmana na sądy sejmowe: za zniewagę króla i stanów.

Rzecz na tym punkcie postawiona, groziła sprawą *de crimen laesae majestatis*, sprawą rzetelnie gardłową. Tu już i król spostrzegł, że zbyt gorliwi poplecznicy za daleko to posunęli. Książę też IMC Marszałek wielki koronny zmiarkowawszy zkąd wiatr wieje, *cum ministerio*, podszedłszy do tronu zaczęli prosić króla o darowanie urazy ich towarzyszowi, i gdy Hetman z powinnem uszanowaniem króla przeprosił, sprawa się przecież pokojowym sposobem załatwiła; zaczem czytany projekt Książąt Radziwiłłów został zgodnie przyjęty. Wszelako Wojewoda nie pierwej otrzymał amnestję i pozwolenie powrotu, aż *recess* od Konfederacji podpisał. Długie były jeszcze dyskusje nad formą samą owego recessu — dwór był niewzruszonym, Książę uledz nakoniec musiał.

Pierwej już nieco, zbliżając się do kraju wyprawił Książę bagaże swoje z Wiednia do Budy, Dunajem, zkąd do Żółkwi lądem przywiezione zostały; sam też wkrótce tamże nadjechał i recess w żądanej formie, d. 18. października 1777 roku razem z listem submissyjnym do Króla, przez Kamińskiego Łowczego Kamienieckiego wysłał. Z Żółkwi dopiero wyjechawszy w połowie maja, następnego roku przybył do Ołyki, gdzie go już wielka liczba przyjaciół i domowników witała. Tu czas krótki zabawiwszy dla załatwienia najgłówniejszych interesów, ruszył do Nieświeża, gdzie nareszcie dnia 23. lipca stanął.

Zamek Nieświeski tak był przez wojnę zniszczony, że w nim zamieszkać było niepodo-

bieństwem. Ulokował się więc Książę w mieście, w pałacu dla gości przeznaczonym.

Szlachta cała, która uważała Księcia prawie jako męczennika swoich własnych wyobrażeń, nie posiadała się z radości oglądania go; jechał na powitanie każdy, kto mógł tylko, uważając to sobie niejako za obowiązek obywatelski. Książę zaś pojąwszy, że się jego rola polityczna skończyła, oddał się cały życiu prywatnemu, a dla okazania, że te prawie rozmyślne dóbr jego zniszczenia, splendoru Radziwiłłowskiego domu zaćmić nie były w stanie, zajął się natychmiast urządzeniami, któreby na świetniejszej jeszcze stopie dwór Nieświeski postawić mogły.

Najpierwszą rzeczą było zreorganizowanie nadwornego wojska, do czego też poprzednio, za rozkazem księcia wzięto się energicznie, tak — iż w chwili jego powrotu już, stanęło ono na najwyborniejszej urządzone stopie.

Tymczasem, znajomy nasz IMPan Koniuszyc Paszkowski, po owym z Vitinghofem nieszczęśliwym pojedynku, odleżał nieborak tygodni kilka w Hrozówce. Rana nie była bynajmniej niebezpieczną, bo słusznie powiadają, że u polskiego szlachcica łeb jest najtwardszy,

owoż i tutaj skóra tylko na czaszcze została rozciętą, a po okrągłej kości szabla się ośliznęła; kontuzja jedynie od silnego uderzenia pozbawiła go na czas niejaki przytomności, poczem wyzdrowienie nader szybko postępowało.

Stary Pan Jacek, Koniuszy Brzeski, dowiedziawszy się o katastrofie syna, przybył natychmiast do Hrozówki; lecz uspokoił się zaraz, widząc stan jego wcale niezatrważający, i bardzo czułą opiekę, jaką był otoczony; bo wreszcie i stara Lutomska, po owym wypadku, Niemca sobie jakoś obmierziła. Młody zaś Paszkowski z rany swojej i niemocy wcale był nawet zadowolonym, ile że ojciec jego, jakoś również łaskawszem okiem zdawał się na Pannę Kunegundę spoglądać, poznawszy ją osobiście.

Tak więc, jak to powiadano, wylizawszy się wkrótce, i serdecznie pożegnawszy poczciwych Lutomskich, do których go ten wypadek jeszcze bardziej zbliżył; ruszył znowu na widownię wojny, gdzie szczęśliwie dotrwawszy do ostatka, powołany wreszcie przez Wojewodę, tułał się z nim jeszcze czas długi za granicą. Ztamtąd też, jako zaufany, w różnych ważnych misjach był wysyłanym niejednokrotnie, a raz

nawet w wielkiem zostawał niebezpieczeństwie, gdy do Frejna, do Księżnej Katarzyny Sapieżyny Łowczyny W. X. Litt., a następnie do Koźmina, do Księcia Pawła Sapiehy, Wojewody Smoleńskiego, przez Księcia Karola Radziwiłła był delegowany; o czem może da Bóg, kiedy w innem miejscu opowiemy. Wrócił wszelako Koniuszyc do kraju pierwej nieco od Księcia Wojewody, a skoro tylko nastąpiła reorganizacja wojska jego, pospieszył do Nieświeża, i tam *eo instante* w 13-tym pułku lekkiej jazdy w randze porucznika umieszczonym został.

O Vitinghofie, za którym się jakoś ze szczególną troskliwością przepytywał ciągle w różnych stronach Boreysza, najsprzeczniejsze krążyły wieści. Jedni utrzymywali, że do Inflant powrócił, drudzy, że w wojsku koronnem służy, inni klęli się, że go to w Słucku, w Słonimie lub w Nieświeżu widywano, od czasu do czasu. Słowem nic o nim pewnego wiedzieć nie było można.

Książę Wojewoda po powrocie, rozkazał natychmiast restaurację zamku Nieświeskiego. W tym celu porozsyłano na wsze strony dla kupna rozmaitych materjałów, do ozdoby siedziby pańskiej potrzebnych.

Owóż, posłano do Saksonii po tafle porcelanowe, dla wyładowania ścian w wielkich zamkowych salach i po rozmaite inne towary. Do Stambułu przez Węgry pojechali komisarze, za kupnem kobierców tureckich, makat, adamaszków i aksamitów rozmaitej barwy. Kazano wyrabiać zwierciadła i szkła w fabrykach Księcia. Uwijali się majstry i budowniczowie. Z powracającymi też wysłannikami ze Stambułu, przybyło trzech Baszów z podarunkami od Sułtana dla Księcia Wojewody przeznaczonemi, wrzekomo na pokrycie szkód przez wojnę poczynionych. Przyprowadzono sto dwadzieścia wielbłądów, tyleż mułów i osłów objuczonych, tudzież sześćdziesiąt najpiękniejszych tureckich koni, a między temi i klacze ze źrebiętami. Przywieziono sześć skrzyń, najpiękniejszej chińskiej i japońskiej porcelany stołowej i kawianej, jak również porcelanowe przeróżne wazony, figury, ptaki, zwierzęta i tafle, do ozdoby ścian służące. Cztery skrzynie z bogatemi futrami i cztery z przepysznemi namiotami, a jedna z samemi sobolowemi kołpakami.

Książę przyjąwszy i ufetowawszy wysłanników Sułtana, odwdzięczając się wyprawił wraz z nimi do Stambułu Generała Fryczyń-

skiego i Kuszelewskiego, którzy język turecki znali, z prezentami dla Sułtana. Były tam futra niedźwiedzie, rogi łosie i jelenie w srebro i złoto oprawne, zwierciadła bardzo piękne, a co najbardziej Baszów zajęło i uradowało Sułtana, to przesłane przez Księcia ośm niedźwiedzi wyuczonych do zaprzęży i usługi, tak, iż gdy niedźwiedzie były w zaprzęgu, to niedźwiedź też i powoził, do tego kareta stosowna i uprzęż z jedwabiu żółtego srebrem okładana.

Z powrotem przeto Księcia, zawrzało życie i ruch w Nieświeżu niesłychany; zjazd był obywatelstwa ze stron nawet oddalonych, jakoby w stolicy. Biesiady, uczty, assamble i przyjęcia bez końca; przy tem fabryki, urządzenia administracyjne, wszystko to, chwili wolnej nawet Księciu Wojewodzie nie dawało.

Gdy już się dalszych gości przerzedzać nieco zaczynało, a Książę wolniejszym się uczuł, przedsięwziął, jak to zwykle od czasu do czasu czynił, objazd folwarków, które w skład dóbr jego Nieświezkich, Kleckich i Słuckich wchodziły. Wyruszył więc, jak zawsze w takich razach w asystencji plenipotenta swego IMCPana Mikucia, kilku dworzan i służby, w niezbyt licznym orszaku.

Było to w Sierpniu. Hrozowiecki dworek zalegała cisza; zmieniło się tu niemało w przeciągu tych lat kilku. Panna Kunegunda, dorosła dziewica, bardzo pięknej urody, była jednak bladawa i smutna, po świeżej utracie matki, która przed parą miesiącami żyć przestała — jeszcze przed śmiercią zalecając córce, strzeżenie owego loszku, ze złotą Radziwiłłowską kolasą. Dwaj młodsi jej braciszkowie byli jeszcze w szkołach. Sama więc tylko została w domu, z ojcem, który od rana do nocy po gospodarstwie się kołatał. Wiedziała ona o przeszkodach, jakie zawsze jeszcze stawiał stary Koniuszy Brzeski, połączeniu się jej z Karolem; lecz powiedziawszy sobie raz, że albo za niego, albo za nikogo innego nie wyjdzie, z niewzruszonym umysłem, rezygnacją i zupełnym spokojem — czekała; a co więcej — uspakajała nawet niecierpliwiącego się Koniuszyca, zalecając mu tylko wytrwałość, a w cierpliwości owej właśnie i poszanowaniu rodzicielskiej woli, czyli też fantazji, zakładając nieomylną nadzieję połączenia się ich i rzetelnej szczęśliwości. Tęskniąc wszelako również i sama, starała się każdą godzinę dnia zapełnić pracą, bądź ręczną gospodarską, bądź umysłową, która odrywając

myśli, jedyną ulgę w jej smutnym nieraz stanie duszy przynosiła.

Dnia tego, stary Lutomski właśnie powrócił był od żniwa, i uznojony, zrzuciwszy kapelusz, gdy na ganku przysiadł, a kraciastą chustką pot ze znużonego czoła ocierał — w tem, wzrok jego uderzył tuman kurzawy, wznoszący się na Słuckim gościńcu. Nim miał czas zrozumieć, coby to być mogło, ujrzał już naprzód pędzącego kozaka, który zwykle kawalkatę Księcia poprzedzał. Lutomski do tej jeszcze pory, Księcia po powrocie nie widział, nie mogąc to dla zatrudnień gospodarskich, to dla pilności nad ową kolasą odjechać; a jako z całej duszy do Wojewody przywiązany, podbiegł, aby go powitać u bramy. Tu, gdy Książę kazał konie zatrzymać i łaskawie do niego przemówił, stary, schyliwszy się do kolan Pana, z nagłego wzruszenia omdlał, i zsunął się na ziemię.

Ocucono go natychmiast, Książę jeszcze się dla niego łaskawszym okazał i w najwyborniejszy wpadł humor. Lutomski zaś przepraszając za swą, lubo mimowolną słabość, i witając Księcia, na nowo rzekł cały wzruszony:

— Nie umiem to ja, przyznam Panu, powitać W. Książęcą Mość wybornemi słowami, ale witam szczerem sercem, i oto rad jestem, że święcie dochowany depozyt do rąk własnych WKs. Mości, mojego Pana, mimo tylu klęsk i niebezpieczeństw, będę mógł oddać w całości.

— Jaki, Panie Kochanku, depozyt? spytał zdziwiony Wojewoda — co to jest!

— Ach! przerwał IMPan Mikuć, uderzając się w czoło, prawda! zapomnieliśmy W. Ks. Mości powiedzieć, że gdy już cale nie było pomieszczenia na przechowanie złotej, ślubnej kolasy, o której, prawdę wyznawszy, zapomnieliśmy wszyscy, a najgłówniej Szabański — bo to chyba jego rzecz, otóż Pan Lutomski i przypomniał o niej, i że czas naglił bardzo, zabrał ją tu do siebie do Hrozówki — i widno dobrze przechował, że mimo przechodów i kwaterunków wojsk, rewizji i różnych wojennych wypadków, dotrzymał ją do tej pory.

Na to Książę:

— Uczciwy Waszmość człowiek jesteś Mości Lutomski. A klepiąc go po ramieniu, z uśmiechem dodał:

— No pokażże mi, Panie Kochanku, gdzie ją tak dobrze przechowałeś.

Ekonom prosił więc Księcia do dworku; tu, wprowadził do alkierza, nacisnął się tłum

ciekawy, odjęto kilka desek w podłodze — ukazały się schodki, niżej zaś wejście do sklepu opatrzonego zamczystemi żelaznemi drzwiami; w klepiku ustawione były porządnie okute paki z częściami rozebranej karety.

Książę popatrzał się, uśmiechnął i pokręciwszy wąsa, co u niego zawsze dobry humor oznaczało, wyszedł z loszku.

— Hm, siadając na sofie w pierwszej izbie, mruknął. Kareta ślubna, Panie Kochanku jest — może to omen, żebym się miał trzeci raz ożenić, a niechby ją tam Panie Kochanku djabli wzięli.

Ale wnet wzracając się do Lutomskiego dodał:

— Dobrześ Waszmość zrobił, uczciwie, niema co mówić — drugiby na te czasy zawieruszyste karetę żydom sprzedał, a sam z pieniądzmi świsnął. No — a jakże tam u Waści gospodarstwo?

— Były klęski, proszę Księcia Pana, czasy wojenne, wiadomo — odrzekł ekonom, teraz jako tako.

— No a gdzież są rejestra? spytał Książę z miną serjo.

Na to zapytanie Księcia, Mikuć i inni obe-

cni spojrzeli po sobie zdziwieni, Książę bowiem zwykł był lubo powierzchownie, przeglądać rejestra w takim tylko razie, jeśli albo z uwag poczynionych przez jeneralnego plenipotenta, było coś do zarzucenia względem lustratora, który rejestra sprawdzał, lub jeśli czasem lustrator klucza, zarzut jaki ciężki czynił ekonomowi. Tu wypadku żadnego podobnego nie było, a nadto Książę jak dawniej lubił Lutomskiego, tak obecnie bardziej jeszcze dla niego zdawał się dobrze usposobionym.

Lutomski wszelako w tej chwili dobył z szuflady starego bióra, sążnistą rejestrową księgę, atrament i pióro — układając zaraz to wszystko przed Księciem na stole.

Obecni z największem zdziwieniem patrzyli jak Książę usiadł poważnie do rejestrów, przerzucał je, a doszedłszy do końca rubryk, sięgnął po pióro.

Było to coś nadzwyczajnego — Książę antypatycznie pisać nie nawidził i zawsze powtarzał: Bodaj ten, Panie Kochanku, z piekła nie wylazł, co pisanie wymyślił.

Owoż Książę umoczył pióro, poprawił się na siedzeniu, nachylił się i sapiąc mocno odstawiwszy wąsy, twardo, mozolnie, powoli pi-

sać coś zaczął. Nie był to widocznie sam podpis, bo zajął wierszy kilka — i trwało to może przez dwa pacierze. Wszyscy stali w najgłębszem milczeniu i w oczekiwaniu czegoś niezwykłego, oddech prawie zapierając w sobie tak, że słychać tylko było przelatujące muchy, skrzyp pióra i sapanie Wojewody. Książę wreszcie po napisaniu kilku wierszy, położył pióro i westchnąwszy głęboko rzekł, zwracając się z miną serjo do obecnych:

— Co dziwnego, Panie Kochanku, że Panowie tak krótko żyją — taka praca !!! *)

A kiwnąwszy na Skirmunta dodał:

— Przeczytaj Waść.

Było to zadanie nielada — Książę bowiem czasami tak pisał, że ani sam, ani nikt by tego wyczytać nie mógł, krom jednego Skirmunta, który w tem miał jakiś dar szczególniejszy.

Owoż Skirmunt, podniosłszy księgę, z ciekawością nie małą czytać począł, jak następuje:

„Wynagradzając dany nam przez IMPana Marcina Lutomskiego dowód przywiązania, wysokiej życzliwości, jako też uczciwość szlache-

*) Autentyczne.

cką — folwark Hrozówkę, do dóbr naszych allodjalnych dotychczas, należący w granicach jakie obecnie obejmuje, *cum lasis*, *gais*, *boris*, łąki *busque* etc. etc., z tem wszystkiem co się na gruncie znajduje wraz z inwentarzami w zbożu, zapasach i ruchomościach gospodarskich, temuż IMPanu Marcinowi Lutomskiemu i sukcesorom jego na wieczne czasy, daję, daruję i zapisuję, żadnych nie czyniąc ekscepcji — spisanie zaś odpowiedniego dokumentu i wniesienie takowego do Akt Ziemskich polecam.

Karol Ks. Radziwiłł Wojew. Wil.

Czytanie tego dokumentu wywołało na twarzach wszystkich obecnych, nie już tylko samo zdziwienie — ale niekłamane uwielbienie dla ukochanego Księcia, który uczciwość i sumienność jako i przychylność dla siebie tak wspaniałomyślnie i hojnie umiał wynagradzać.

Lutomski stracił prawie przytomność, słowa przemówić nie mógł, uszom własnym nie wierzył, bladł tylko to czerwieniał, wreszcie upadł do nóg Wojewodzie i rozpłakał się jak dziecko.

— No, no — wołał Książę podnosząc go i śmiejąc się zadowolony, dość tego, Panie Kochanku, dość, a gdzież jest gospodyni?

— Bogu Wszechmogącemu podobało się przenieść ją do wieczności, rzekł Lutomski łzy ocierając, właśnie parę miesięcy temu. Pilnowała ona do końca życia tego skarbu, a nawet przez cały ten czas nie wyjeżdżała prawie i do kościoła nawet, a spowiadając się przed śmiercią dała na Mszę Św. za zdrowie i pomyślność W. Ks. Mości. Córka moja tylko teraz gospodynię zastępuje, a dwóch synów w szkołach.

— Zawołaj że mi Waszmość córkę, rzekł Książę.

Za chwilę zjawiła się w progu mocno zapłoniona panienka.

Książę jako dla kobiet, zwykle pełen kortezji, ujrzawszy ją wchodzącą, wstał, gdy mu się do nóg nadchylić chciała, podtrzymał, a pokręcając znów wąsa, poczem otaczający poznali że mu się podobała, zapytał zaraz:

— Jakże Waćpannie na imię?

— Kunegunda.

— Panie Kochanku! to mojej matki imię!

— Właśnie, ozwał się Lutomski, i jej matka to samo imię nosiła.

Wojewoda zadumał się chwilę.

— To coś Waść otrzymał, rzekł wreszcie, nie Radziwiłł Ci dał, ale sam Pan Bóg, który

przez ludzkie ręce najlepiej cnoty nagradzać umie. Staraj że się Wasımość, Panie Kochanku, abyś pokierował synów i na uczciwych ludzi wyprowadził, a o losie córki mnie pozwól pamiętać.

Znowu tedy dziękował Lutomski i córka, ale panna na ostatnie słowa zbladła okrutnie, a przytomni uśmiechnęli się nieco; wszyscy bowiem wiedzieli, że Wojewoda pasję miał szczególną do swatania i kojarzenia małżeństw. Przewidywano więc że natychmiast o kawalerze dla Panny Lutomskiej pomyśli; tego się też i ona właśnie nie mało ulękła.

— A teraz, zawołał Książę wesoło, wypowiedziawszy wam kazanie, co i ksiądz Kantembryk lepszego nie potrafi — kiedy Radziwiłł już nie u siebie, ale u was, Panie Kochanku, w gościnie, niechże się młoda gosposia zajmie aby nas po drodze i posilić.

Zwróciwszy się zaś do plenipotenta, dodał:

— Panie Mikuć, proszę Waści, aby Lutomski natychmiast otrzymał akt darowizny i intromisją do Hrozówki.

Po szlacheckim obiedzie, na którym jak wiarogodne niesie podanie, Książę zjadł kopę litewskich kołdunów, gdy już się żegnano, a ka-

walkata ruszyć miała z przed dworku, rzekł Wojewoda do Lutomskiego:

— Każże Waszmość paki z karetą na furmanki włożyć i odeszlij mi ją zaraz do Nieświeża.

Sam zaś Książę nawrócić kazał również do domu i gdy furmanki z pakami nadeszły, władować na nie kilka beczek wina z zaleceniem, aby je w Hrozówce w tejże samej gdzie stała kareta piwnicy umieszczono, i nie ruszano, aż do przyszłego Kunegundy wesela.

Gruchnęła tedy wieść o wspaniałomyślności Księcia jako i o tem, że się podjął los córki Lutomskiego zapewnić.

Paszkowski sam nie wiedział co myśleć, ucieszył się i uląkł tej ostatniej wiadomości. A może ją Książę za kogo innego wydać zechce? myślał sobie. Takież uwagi i Pannie Kunegundzie na myśl przychodziły, położenie wówczas stałoby się arcytrudnem — fatalnem; możnaż się woli takiego dobroczyńcy sprzeciwiać, albo ją lekceważyć? Koniuszyc jednak ufał w charakter i serce swej bogdanki, ale niespokoju wszelako pozbyć się nie mógł.

Tymczasem jak wszędzie i zawsze, tak i teraz w otoczeniu Księcia, ciągle się na Hro-

zówkę, jako na świeży wypadek zwracała rozmowa, tem więcej że Księciu widocznie pilno już było rozpocząć swaty. Była to jego słaba strona i najmilsze zajęcie, gdyż biorąc assumpt z wesela, sutą mógłby urządzić zabawę. Trzeba przytem wiedzieć, że zachowania wszelkich w ogóle dawnych obyczajów i obrzędów, Książę przestrzegał nadzwyczaj pilnie, i jakby na przekor innowacjom cudzoziemskim, tak usilnie i gorąco przez dwór i samego Króla JMCi zalecanym, starał się on o ile tylko podobna, ten wrzekomo cywilizatorski popęd hamować, a staroświeckie obyczaje utrzymać i zachowywać na Litwie: i kto wie — czy nie jemu to właśnie, okolice tamte do dziś dnia jeszcze zawdzięczają swój patrjarchalny charakter.

Gdy więc Książę raz i drugi wspomniał coś o Pannie Lutomskiej, obecny temu IMPan Borowski rzekł:

— Już to Książę, chcąc pannę Lutomską wydać za mąż, nie łatwą pono sprawę wziąłeś na siebie.

— Alboż co? Panie Kochanku, spytał zaniepokojony Książę.

— Bo panna, choć do tej pory była bez substancji, a przecież lubo uboga, tyle już har-

buzów rozdała, żeby niemi i sto wołów ukarmił — a cóż dopiero...

— Gdzież Waszmość, Panie Leonie słyszałeś, przerwał Książę, żeby kto, Panie Kochanku harbuzami woły karmił?

— No — odrzekł Borowski, jak nie woły to osły, mała różnica.

— Waszmości bo zawsze Panie Kochanku błazeństwa się trzymają— wiesz dobrze, że ja jestem umysłu poważnego, lubię — Panie Kochanku — ot, jak Pan Podkanclerzy powiada kiedy łże — prawdy historyczne — a zatem, od gadaj lepiej co jest, wyraźnie jak łopatą i kwita.

— Jest rzecz prosta, odparł Borowski, Panna by dawno i bez pomocy Księcia za mąż poszła, żeby nie coś.

— Ale — pfe! Panie Kochanku, jakie coś? no, gadaj wyraźnie, ja nie mniszka.

— Ot po prostu, rozmiłowana jest od lat dziesięciu może w Paszkowskim, Koniuszycu, rotmistrzu Księcia — a stary Koniuszy nie pozwala.

— Tak! — to wiesz pewno? zawołał Książę bardzo rozweselony.

— Najpewniej — wszyscy wiedzą.

— O! i nikt mi nic nie mówił, a toś mi mój Panie Leonie przedziwną nowinę zwiastował. O, to to, śmiał się Książę uradowany — i zwracając się do któregoś z dworzan zawołał:

— Poprosić mi tu Pana Bernatowicza.

— A był to główny sekretarz Księcia, gdyż Wieczorzyński, co z Księciem do Białej jeździł, zostawał jak i kilku innych pod jego tylko dependencją.

— Słuchaj Waszmość — rzekł Książę do Bernatowicza, napisz uprzejmy list zaraz i daj mi do podpisu.

— Do kogo i o co? proszę WKsMości — bo nie słyszałem.

— A prawda — do Koniuszego Brzeskiego, Paszkowskiego Jacka — z zaproszeniem w pilnym interesie do Nieświeża. Wybornie, Panie Kochanku, dogodziłeś mi panie Leonie — ale proszę cię i was wszystkich, ani słowa o tem — motus. *)

— Uważajcież panowie, z miną serjo zwracając się do obecnych rzekł Borowski, Książę powiedział *motus* — po łacinie, a po chłopsku m o t u z — znaczy postronek — ergo — kto piśnie, tego na postronek!

*) Tak mówiono w miejsce słowa: mutus.

— Cha! cha! cha! śmiał się Wojewoda — Borowski ma zawsze, Panie Kochanku argumenta najlepsze.

List wkrótce wystylizowany i podpisany przez Księcia, wyprawiony został niezwłocznie do Koniuszego Brzeskiego. Jakoś w dni cztery, ku wieczorowi, nadjechał stary Paszkowski. Z uprzedniego polecenia Księcia, wprowadzono go zaraz do gabinetu, gdzie przez dostojnego gospodarza niezmiernie uprzejmie powitanym został. Do wieczerzy było jeszcze godzin parę, więc do poufnej gawędki, *semotis arbitris* dla odwilżenia gardła postawiono gąsiorek, z grubego zielonego szkła, grubiej jeszcze od starości omszałego miodu. Koniuszy, szlachcic prostoduszny, małej fortuny i prawdziwy prawie jak mawiano, szaraczek, lubo z karmazynowego szczepu, zdziwiony był wielce, ale i uradowany tak konfidencjonalnem i uprzejmem przyjęciem Wojewody. Książę sam lampki miodem nalewał, i do picia zachęcał — a miód był przedziwny, już też przy drugiej lampce staremu Koniuszemu jakoś ciepło i błogo robić się zaczynało; gawędka się rozpoczęła, o różnych ostatniej wojny ewentach, o rzecach politycznych — wreszcie o ostatniej bytności Koniuszego w Białej, aż Książę rzekł:

— Dawnośmy się, szanowny Panie Koniuszy, Panie Kochanku, nie widzieli, lat prawie dziesiątek.

— Postarzeliśmy, proszę W. ks. Mości, odrzekł wzdychając Koniuszy.

— *Fugaces labuntur anni*, wydeklamował Książę z udaną powagą, tak mówi Horacjusz; bo to ja niegdyś całego Horacjusza, Panie Kochanku, na pamięć umiałem, ale w tych kłopotach, wszystko z głowy wyleciało.

— Już to W. Ks. Mość miał siła kłopotów.

— Ba — ba — Panie Kochanku, nieuwierzysz Waszmość, co ja wycierpiałem, lepiej mi było być kuchtą u Pani Gałeckiej, święte życie, Panie Kochanku, *in comporatio* tego co ja w tej peregrynacji przeniosłem. Jeszcze pókim był na Szlązku, jako tako, bo to jakoby swój kraj, *una ecclesia, una fides*, ale jak się dostałem na Węgry — niech Bóg broni! — to Panie Kochanku, czy uwierzysz Waszmość, cały czas musiałem jak pies w Budzie siedzieć.

— Niech Pan Bóg broni! wykrzyknął dobrodusznie Koniuszy — czy to może być?

— Ale tak, tak, Panie Kochanku, jak

Acana szanuję — w Budzie — ot na co zeszedłem!

— No! mruknął Koniuszy, kręcąc głową.

— Ot widzisz Waszmość, mówił dalej Książę, popijając sam, i dolewając ciągle staremu Koniuszemu miodu; zhołałem, Panie Kochanku ze wszystkiem, i to tak powiadam Waszmości, goły jestem, tak goły, i ot niedawno przysyłał do mnie Sułtan turecki — musiałeś o tem słyszeć?

— Słyszałem, proszę W. Ks. Mości.

— A wiesz czego on przysyłał?

— Z podarkami podobno, jak mówiono.

— Otóż to, Panie Kochanku, z podarkami; chciał mię Sułtan turecki ująć, wiedząc, że jestem goły — żeby mnie ogłosić, czyli kanonizować na Tureckiego Świętego — i to nie bacząc na moje ciężkie grzechy, bo oni na to mało uważają. — Przysłał aż trzech Baszów, więc kiedym się na to nierezolwował, i już teraz od wszelkich prac politycznych się odsunąłem w kraju, musiałem wreszcie zgodzić się na konferowany mi od Sułtana urząd Safan-Duły Dardanelskiego; ale i to, Panie Kochanku, urząd dla mnie za wysoki, lepiej by on się należał naszemu Królowi Jegomości.

— Hm, mruknął Koniuszy — a to ciekawość!

— Ten urząd, Panie Kochanku, to *sinecura* ciągnął Książę, roboty nie ma, ale i pensja niejaka. — Ot, wiesz co, Panie Koniuszy, tak mi teraz pieniędzy potrzeba, że przyznam Ci się, właśnie wezwałem Ciebie, czybyś mnie z jakie tysiąc dukatów nie pożyczzł.

— Czy to być może, zawołał zdziwiony Koniuszy, a miarkując się dodał: Owszem — z miłą chęcią, ale wyznaję W. Ks. Mości, że całej fortuny mojej mam właśnie ledwie tyle — a zatem z chęcią służyć będę.

— Widzisz bo, kochany Panie Koniuszy, nie chcę ja Waścinej krzywdy, dam Ci za to wieś w zastawę.

Tu Książę zadzwonił i kazał prosić IMPana Mikucia.

— Jakie tam, rzekł do nadchodzącego plenipotenta, masz Waszmość na regestrze wsie do zastawy?

IMPan Mikuć uśmiechnął się nieznacznie, jako widać poinformowany i rzekł:

— Niewiem — na jaki kapitał zastawny?

— A prawda, przerwał Wojewoda — na tysiąc dukatów.

A Pan Mikuć na to — niby przeglądając w swym długim a wązkim regestrzyku.

— Mogłaby być, naprzykład, Dąbrowica.

— Czy ta co w Słuczyźnie o granicę z Hrozówką? spytał Koniuszy.

— Ta sama.

— Znam tę wieś — odparł stary Koniuszy, kręcąc głową — ale, ośmielam się zrobić uwagę, że ona, gdy ją nieboszczyk Grabowski trzymał, chodziła w czterech tysiącach, a tu procent od tysiąca dukatów, to niema komparacji, i z krzywdą Księcia.

— Wcale nie z krzywdą, Panie Kochanku, zawołał Wojewoda — ja Waszmości daję w zastaw Dąbrowicę, a jeźli Waszmość się tu formalizujesz, to daję na imię Karola, syna Waszmości, który na moje względy zasłużył, ale za to dasz mi Szanowny Panie Koniuszy słowo, że jeden warunek przyjąć musisz.

— Jaki? — spytał Paszkowski.

— Ciekawy Waszmość jesteś, nie wierzysz Panie Kochanku Radziwiłłowi, hę? to taka przyjaźń? Nie będę przecież od Waszmości wyciągał rzeczy niepodobnej.

— Ha! — nieco zkonfundowany ozwał się Koniuszy ściskając księcia za kolano, kiedy

taka wola W. Ks. Mości, to przyjmuję ów warunek.

— I dajesz *verbum*? — mówił Wojewoda wyciągając rękę.

Stary wyciągnął rękę.

— Ufam w życzliwość i łaskę W. Ks. Mości, więc daję.

— A zatem — mówił Wojewoda — warunek jest ten, że mi Waszmość, Panie Kochanku pozwolisz, syna swego wyswatać według mojej woli.

— Wola W. Ks. Mości, ścielę się do nóg za tę łaskę, ale z kimże? — spytał nieco niespokojny Koniuszy.

— Z Panną Kunegundą Lutomską.

Stary wyprostował się żywo.

— Wolne żarty W. Ks. Mości.

— Ale bynajmniej, Panie Kochanku.

Westchnął ciężko stary Paszkowski.

— Dałem słowo, niema co mówić, ale pozwolisz W. Ks. Mość zrobić uwagę, że znając prozapię naszego lubo szlacheckiego imienia, możesz W. Ks. Mość sam dobrze pojmować, iż mój syn Karol mógłby przecie znaleźć towarzyszkę życia, niekoniecznie z ekonomskiego domu.

— Co Waści jest? Panie Koniuszy, jakiego ekonomskiego?

— A jakżeż — odparł Paszkowski — przecież Lutomski ten jest ekonomem w folwarku W. Ks. Mości w Hrozówce.

— Kto to Wasci naplótł takich banialuków? jakim ekonomem? Panie Kochanku, to mój sąsiad najlepszy — a Hrozówka jegoż wieś własna.

Koniuszy oniemiał na chwilę, a spoglądając to na Księcia to na Mikucia, rzekł wreszcie:

— Zda mi się, że W. Ks. Mość sobie ze starego sługi Jego dworuje.

— Broń Boże, przerwał Mikuć, Hrozówka istotnie jest własną IMPana Lutomskiego.

— A prócz tego, dorzucił żywo Książę, który się serdecznie bawił tą sceną z Koniuszym, lubo prozapija domu Paszkowskich znajoma mi jest dobrze, toć przecie i Lutomscy Korabicze, też są szlachtą rodowitą z dziada pradziada.

— No! ciekawość! powtarzał Koniuszy ruszając ramionami, to chyba ten Lutomski udawał przedemną ekonoma?

— A, niezawodnie, Panie Kochanku, to

stary gracz, oho! chciał pewno doświadczyć stałości afektu Waścinego syna.

Nno! ciekawość! niechże już tak będzie kiedy dałem słowo, a taka wola W. Ks. Mości, mówił Paszkowski, i dodał: A ja proszę uniżenie byłbym jurament wykonał, że to folwark ze Słuczczyzny!

— A zatem zgoda, Panie Kochanku, zgoda, zawołał wesoło Książę, zostaniesz Waszmość u mnie jeszcze czas jakiś, naradzimy się co i jak uczynić wypadnie, a tymczasem *silentium*, nawet synowi ani słowa o tem, i zechciej się do mojej planty akomodować, pomówimy o tem jutro.

Trzeciego dnia Wojewoda wybrał się do Słucka znowu, w asystencji dość znacznej dworzan i oficerów swych nawet, między którymi znajdował się i Koniuszyc Paszkowski. Tu przenocowawszy, całe towarzystwo ruszyło dalej, niby znowu w objazd folwarków i koło południa stanęli w Hrozówce.

Na spotkanie Księcia wyszedł stary Lutomski i córka, lecz z ich ubiorów odświętnych widać było, że się na ten raz już przybycia gości spodziewali, ktoś widać ze Słucka przyjazd ten zwiastował.

Książę powozom odchodzić nie kazał i ucałowawszy rękę panny Kunegundy przy powitaniu, natychmiast w roli swata wystąpił; enumerował więc starym obyczajem splendory domów i o rękę panny dla Koniuszyca prosił.

Młody Paszkowski bynajmniej o tem z umysłu nie uprzedzony, zmięszał się zrazu niesłychanie, lecz nim Książę perory dokończył, oprzytomniał jakoś, czekał więc konkluzji, i gdy ta nastąpiła, rzekł z wielkim respektem zbliżając się i głosem, mocne wzruszenie zdradzającym:

— Nie umiem prawdziwie wyrazić Waszej Książęcej Mości wdzięcznych sentymentów moich, za Jego dla mnie dobrotliwość okazywaną zawsze, a *ante omnia* w tej oto okazji, ale owoż znajduję się teraz w sytuacji najnieszczęśliwszej — ani bowiem z łaski dobroczyńcy mego korzystać, ani najgorętszym życzeniom własnego serca mego dogodzić nie jestem w stanie, albowiem Rodzic mój IMPan Koniuszy Brzeski, na związek nasz z Panną Kunegundą nie przystaje — a ja...

Tu wstrzymał się jakby mu tchu brakowało — wreszcie stłumionym głosem dokończył.

— A ja woli jego sprzeciwiać się nie mogę.

— Bardzo się Waszmości chwali — bardzo! przerwał rozczulony mocno Książę, podając rękę Koniuszycowi i całując w głowę — bardzo się chwali to ojcowskiej woli poszanowanie, właśniem tego po Waszmości czekał, i niezawiodłem się, Panie Kochanku, postaramy się przeto te przeszkody usunąć.

I ledwie te słowa wymówił Książę, a działo się to w pierwszej izbie, gdy oto we drzwiach od alkierza ukazał się z uśmiechem zadowolenia na obliczu IMPan Koniuszy, który tu z polecenia Księcia oczekiwał. Natychmiast więc nastąpiło błogosławieństwo, a po spełnieniu kilku za pomyślność młodej pary toastów, Wojewoda wraz z całem towarzystwem, prócz narzeczonego — do Nieświeża powrócił.

W miesiąc niespełna potem Książę, sute trzy dni trwające wesele wyprawił młodym Paszkowskim w Nieświeżu; tymczasem kucharze Księcia przygotowywali, z polecenia jego, przyjęcie w Hrozówce, dokąd znów ruszyło całe weselników grono. Tu dopiero zakosztowano owego pierwej przysłanego na furmankach co woziły karetę, wina. Gdy państwo młodzi wyjeżdżali z Nieświeża, zaszła po nich nowiuteńka Danglowska bardzo piękna landara, żółta

całkiem, jakoby złota, własny ekwipaż Księcia w paradny poszóstny gniady cug uprzężona.

Po skończonej hucznej, *de noviter* trzydniowej w Hrozówce zabawie i licznych libacjach, gdy Wojewoda w najlepszym był humorze, żegnając jeszcze państwa młodych, ozwał się na ganku:

— To com dla Was, Panie Kochanku uczynił, uważajcie za dar Opatrzności; Bogu dziękując żyjcie poczciwie, chowajcie dzieci w cnotach i obyczajach starodawnych, idąc jakoby za manudukcją dziadów i pradziadów naszych. Owa zaś żółta kolasa, która was tu przywiozła, wraz z cugiem staje się waszą własnością, abyście Panie Kochanku, pobożnie kościół w Nieświeżu nawiedzając i mnie nie mijali, co jako dowód *boni affectus* uważać będę; i Radziwiłł też w każdej potrzebie radą i pomocą zasilać Was nie przestanie.

Zaledwie skończył, a państwo młodzi i rodzice ich płacząc z rozrzewnieniem, serdeczne dzięki dobroczyńcy swemu składali, huknęło na dziedzińcu rozgłośne, przez całe grono biesiadników okrzyknięte:

— Vivat — vivat — niech żyje nasz Książę kochany!

Ale jednocześnie prawie z wiwatami usłyszano — strzał niedaleki.

W mgnieniu oka zaległa martwa cisza.

Każdy jakby na miejscu skamieniał, nie mogąc pojąć coby ten strzał oznaczał.

— Co to jest? Panie Kochanku, przerwał Książę najpierwszy.

— Gdzie strzelono?

— Kto strzelił?

— Ktoś pewno na vivat wypalił.

— Co by to mogło być?

Tysiączne posypały się zapytania, lecz nikt na nie odpowiedzieć nie umiał.

— Zdaje się, jakby w ogrodzie, zawołał któryś.

Rozpierzchli się ciekawi na wszystkie strony, w minut kilka rzecz została wyjaśnioną.

Tuż za ogrodem w brzezinie znaleziono bez życia z roztrzaskaną od pistoletowej kuli głową, nieszczęśliwego porucznika Vitinghofa.

— Ha — rzekł Wojewoda, gdy mu o tem doniesiono; *sic fata tulere*, czyli Panie Kochanku jak pan Leon powiada, tak maty kazała; szkoda tego Niemczyka — bo to był i rozumny i poczciwy człowiek!

— Albož go Książę znał, spytał Pan Borowski.

— Ja? Panie Kochanku — jakem żyw go niewidziałem.

— A zkądże Książę wiesz, że był rozumny i poczciwy?

— Ba - a to przecież jasno — gdyby był złym albo głupim, toby mógł z za płotą albo do Waszmości Panie Leonie, albo do mnie, albo do Pana młodego wypalić — a toby było, Panie Kochanku — daleko gorzej.

KONIEC.

— Albożeś go Księże znał, spytał Pan Horowski.

— Ja? Panie Kochanku — jakom żyw go niewidziałem.

— A zkądże Księże wiesz, że był rozumny i poczciwy?

— Ha — a to przecież jasne — gdyby był złym albo głupim, toby mógł z za pieca albo do Waszmości Panie [illegible], albo do mnie, albo do Pana młodego wypalić — a toby było, Panie Kochanku — daleko gorzej.

KONIEC.